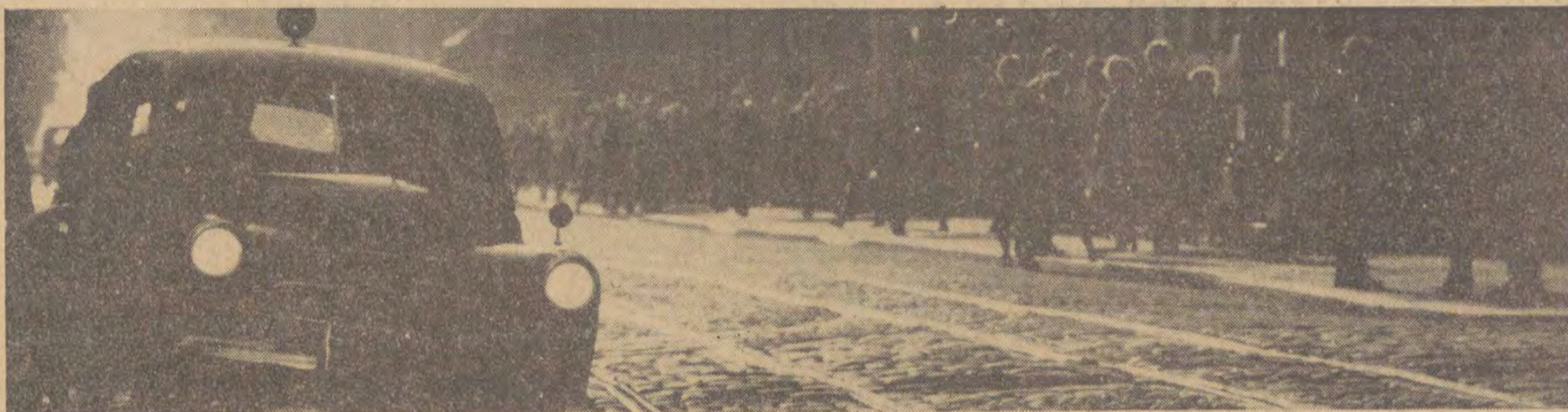




Fot. W. Biliński.

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok V. ŁÓDŹ, 25. XI. 62 r.

Nr 47 (247)

Cena 1 zł

ZDRADA STANU- DINTOJRA- SĄD KAPITUROWY?

Rozgromienie redakcji tygodnika „Spiegel” było logiczną konsekwencją nierównej walki, do jakiej stanął redaktor tego pisma Rudolf Augstein wraz ze swym zespołem, walki, którą prowadził już zresztą od lat i w której jak dotąd, on to właśnie był stroną atakowaną. Osoba najbardziej wystawiona na celne i bezkompromisowe ataki tygodnika „Der Spiegel” — jak wiadomo — był minister Strauss, postać, która w sposób ponury utożsamiała się z odrodzonym niemieckim militarystycznym pre-

tendent do fotela kanclerza republiki w następstwie po zgrzybiałym Adenauerze. Pan Strauss bronił się jak dotąd przed atakami Augsteina dość niemrawo. Skierowywał zazwyczaj przeciw niemu lub całemu zespołowi tygodnika „Der Spiegel” sprawę do sądu — takich spraw o zniesławienie prowadził w ostatnich latach kilka, zresztą żadnej nie wygrawał. A jeśli rewelacje tygodnika ujawniały zbytnio — skandaliczne tajemnice pa-

Dalszy ciąg na str. 4



Rudolf Augstein

FELIKS BABOL

JAK LECZYĆ ŁÓDZKĄ ARTERIO- SKLEROZĘ?

Nazajutrz po plenum KL w sprawie komunikacji trolejowej w tramwajach był taki sam, jak poprzedniego dnia, na ulicach po starciu powstały korki, ludzie na przystankach bluźnili aż strach, matki nie mogły zdążyć na czas do przedszkoli, gdzie czekały na nie dzieci, spóźnieni zakochani odsadzali się od czoł i wiary. Ale przecież u tysięcy łódzian, którzy czytali tego i poprzedniego dnia gazety, wiadomość, że po raz pierwszy po wojnie partia, zajęła się sprawami komunikacji w Łodzi, stała się przystawionym plasterkiem kojącym ranę.

A ile mamy zaległości w tych sprawach, dowodzi chociażby to, że na plenum poświęconym łódzkiej komunikacji, trzeba było podobnie jak w nagłych i groźnych dla zdrowia wypadkach, jednocześnie rozpoznać cierpienie i pomyśleć o terapii.

Jak więc leczyć łódzką arteriosklerozę? 200 osób, uczestników plenum komunikacyjnego miało okazję przyczynić się do wyrażenia określenia choroby:

w ciągu ostatnich pięciu lat straty czasu potrzebnego na dojazd do pracy i z pracy do domu zwiększyły się do ponad 14 tys. dniówek roboczych dziennie. Wynika to stąd, że mamy 300 tys. przejazdów dziennie (autobusami i tramwajami), a każdy nasz łódzki pasażer podróżuje 3,4 km za jednym biletem (to sprawa rozrzuconych po peryferiach nowych dzielnic mieszkaniowych).

ludzie z Retkini i Starego Złota chodzą po 5 km do najbliższego przystanku tramwajowego. Może wobec tego nie sprzeciwiać się dyr. Duniakowi, który dla zwiększenia szybkości tramwajów i lepszego tym samym obsłużenia miasta zamierza zmniejszyć ilość przystanków w centrum?

Łódź jest jedynym mias-

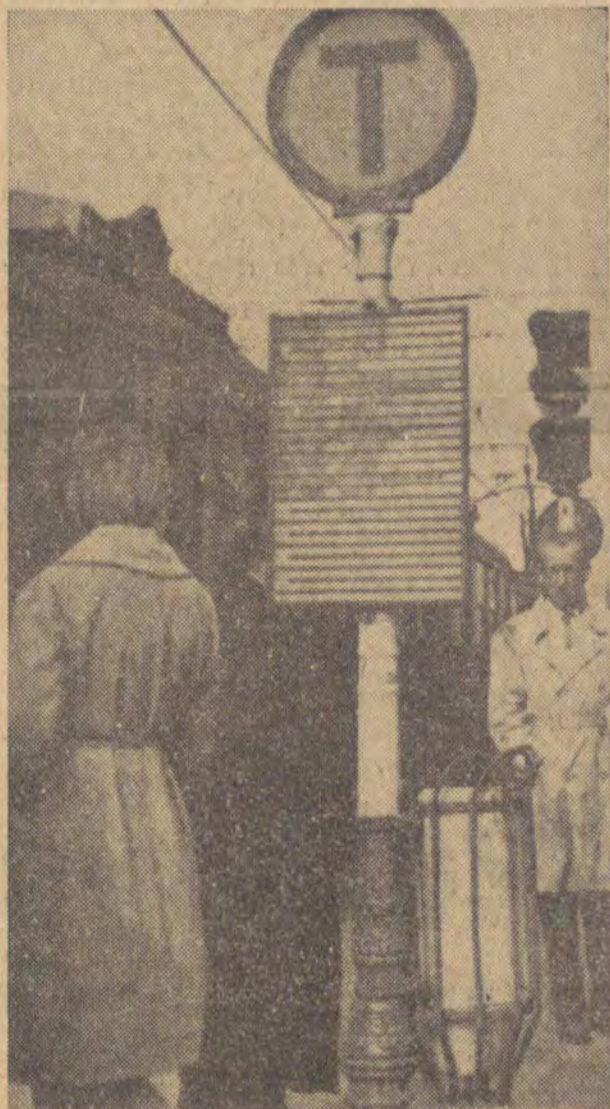
tem w kraju i chyba w Europie, które nie ma problemu „szczytu” komunikacyjnego, bo jest to miasto o... pięciu „szczytach” potęgających trolej, stratę czasu i zamieszanie w komunikacji (trzy zmiany fabryczne „szczyty” szkolne i urzędnicze...).

w Łodzi trolej w tramwajach i autobusach jest bardzo kosztowny, bo do tej „wygody” i „wielkiej sprawności”, do tych oberwanych guzików, nerwów, awantur miasto jeszcze dopłaca 69 mln. zł rocznie (tyle wynosi deficyt w tzw. masowych środkach transportu), dla samochodów, ciężarówek i motocykli brakuje nam w tej chwili już 370 miejsc obsługi w warsztatach samochodowych, a za cztery lata zabraknie 1350 miejsc i 3 tys. techników do reperacji i obsługi tej łódzkiej, mimo wszystko rosnącej motoryzacji. Warto jednak zatroszczyć się o zaplecze dla niej, bo zły to gospodarz, który nie chroni przed szybkim zniszczeniem swego majątku (wartość tylko samochodów ciężarowych w Łodzi wyniesie w 1966 roku 2 miliardy złotych).

527 km ulic Wielkiej Łodzi czeka na jakąkolwiek nawierzchnię, bo nie ma żadnej, a ilość dróg o nawierzchni gładkiej jest o połowę mniejsza niż przeciętna krajowa.

Ale leczenie cierpienia, które narastało stale od tyłu lat — może nawet i z wiedzą lekarzy, choć bez ich interwencji — nie jest rzeczą łatwą, bo teraz, czego byśmy się nie tknęli, natrafiamy z miejsca na komplikacje. Na przykład trolejbusy. Pomogłyby rozładować trolej zbliżyć całe dzielnice do centrum, ułatwić dojazd do pracy i teatru, nawet sam

Dalszy ciąg
na str. 2



Fot. E. Kudał

WIESŁAW BEK

INŻYNIEROWIE NA WAGĘ ZŁOTĄ

Przed kilku dniami na półkach księgarskich ukazała się niezwykle interesująca pozycja: „ZSRR — USA, Liczby i fakty”. W informatorze tym, tłumaczonym z rosyjskiego, w dziale: „Oświata i nauka” znajdujemy następujący cytat:

„Związek Radziecki stale wypuszcza 3 inżynierów na naszego jednego i ten stosunek już wkrótce wzrośnie do 4:1. Ponadto Związek Radziecki przygotowuje 2 pracowników nau-

kowych na naszego jednego, 5 metalowców na naszego jednego itd. we wszystkich dziedzinach nauki i techniki dnia dzisiejszego”.

Słowa te wypowiedział B. Schriever kierownik Zakładu Prac Badawczych w dziedzinie techniki rakietowej USA. Na poparcie tych słów zamieszczony jest wykres, z którego wynika, że liczba absolwentów inżynierów w roku 1959 wyniosła w ZSRR 108 tys. osób, w Stanach Zjednoczonych 38 tysięcy.

O tym, że NAUKA STAŁA SIĘ JEDNYM Z ZASADNICZYCH ELEMENTÓW WSPÓŁZAWODNICTWA MIĘDZY OBU ŚWIATOWYMI SYSTEMAMI świadczy choćby taki fakt. Paki północno-atlantycki — NATO powziął nie dawno szereg decyzji w sprawie popierania przez państwa nauki i kształcenia kadr specjalistów. Utworzono nawet specjalny urząd dyrektora naukowego. Dyrektor ów jest zastępcą przewodniczącego Rady NATO. Piastuje więc

bądź co bądź niebagatelną funkcję...

ZANIM rozważymy sytuację kadrową w zakładach przemysłowych województwa łódzkiego, sięgnijmy do kilku liczb ogólnokrajowych. Jeśli w roku szkolnym 1937-1938 kształciło się w Polsce, na wyższych uczelniach, 14,4 młodych ludzi na każde 10 tys. mieszkańców, w roku 1960/61 — 55,4, 1961/62 —

Dokończenie na str. 2

Inżynierowie na wagę złota

Dalszy ciąg ze str. 1

57,2. (Przyjmując za podstawę porównania rok 1980, od powiednia wskaźniki w kilku innych krajach przedstawiają się następująco: ZSRR — 111,8, Czechosłowacja — 68,9, NRD — 40,1, Włochy — 45,2, NRF — 33,2 (ta liczba dotyczy roku 1958)...) Równolegle z tak znaczącym wzrostem liczby studentów ulega również zmianie struktura uczących się. Najpoważniejszą pozycję, ponad dwukrotnie wyższą niż w porównawczym roku szkolnym przedwojennym, stanowią pobierający naukę na uczelniach technicznych — 32 proc. ogółu studentów. Na 10 tys. mieszkańców Polski liczba absolwentów studiów technicznych w roku szkolnym 1959/60 wynosiła 25,1.

Oszczędzając Czytelnikowi innych długich zestawień GUS-owskich, uznałem za słusne podać powyższe by przekonać, że i my nie zasypiamy przysłówiowych gruszek w popiele. Tym bardziej że z tego, o czym będzie mowa poniżej, czytelnik mógłby wnioskować inaczej. Województwo łódzkie jest bowiem ubogie w kadry inżynieryjno-techniczne, chociaż jego centralne położenie w kraju, rozmieszczenie zakładów przemysłowych, a także szeroka perspektywa — wymagająca właśnie dużego grona specjalistów z różnych dziedzin. Stąd więc szczególna troska gospodarzy województwa o napływ ludzi wykształconych, niestety, nie idąca jeszcze w parze z praktyką dnia dzisiejszego.

To ostatnie stwierdzenie oparte jest znów na liczbach. Przeprowadzona ostatnio przez Wydział Ekonomiczny KW PZPR analiza w 67 zakładach przemysłowych dała obraz wcale nie optymistyczny. Inżynierowie stanowią w nich bowiem 0,96 proc. zatrudnionych, technicy — 2,7. Nie brak przy tym przykładów naprawdę drastycznych. W sześciu fabrykach, w tym w trzech odzieżowych, wełnianej, bawełnianej i hucie, nie ma ani jednego inżyniera, techników jest zaś niewielu. W Łasku zakłady „klucza” zatrudniają 2 inżynierów, w Rawie — czterech, w Wieluniu i Brzezinach — po sześciu. Prawda, powiaty te nie należą do uprzemysłowionych. Są jednak i inne rejony województwa, gdzie inżynierów można policzyć na palcach. Chocby w Ozorkowie. Na ponad cztery i pół tysiąca zatrudnionych — zaledwie 10 inżynierów!

Interesujące jest jeszcze inne zestawienie — stan kadr technicznych w poszczególnych branżach. Wyłączając chemiczną, gdzie z natury rzeczy sytuacja jest pomyślniejsza oraz metalową, w której wskaźnik wyższy jest od przeciętnej, w pozostałych daleko do doskonałości. W zakładach bawełnianych, jedwabniczych, filców i tkanin technicznych, a także w wełnianych średnio, zaledwie co 250-300 pracowników jest inżynierem. Najbardziej upośledzone pod tym względem są zakłady przemysłu odzieżowego:

ponad 4 tysiące pracowników i 2 (słownie: dwóch) inżynierów i 42 techników. Wyjaśnijmy jednak od razu, że wyższe uczelnie w Polsce nie przygotowują kadr technicznych dla tej gałęzi przemysłu. Jest to o tyle paradoksalne, że wobec rosnącego zapotrzebowania na tanią, estetyczną konfekcję — będziemy przecież uruchamiać coraz to nowe fabryki. Trzy, czy cztery z nich mają być zresztą — i słusznie — zlokalizowane właśnie w województwie łódzkim.

Czy przedstawiony powyżej obraz nie ulega zmianie?

Takie stwierdzenie byłoby z pewnością nieprawdziwe. W ostatnim okresie, szczególnie po X Plenum KC, które w centrum zainteresowania postawiło szeroko rozumiany postęp techniczny, niemożliwy przecież do wprowadzenia bez odpowiednio przygotowanych ludzi, w zakładach obserwować można dużą troskę o zmianę istniejącej sytuacji. Zarówno drogą kształcenia własnych kadr na uczelniach, jak i organizowania szkół i kursów, obejmujących różne specjalności zawodowe. Na szczególne wyróżnienie zasługują tu Państwowe ZPB im. Bojowników Rewolucji 1905 roku, w których szkoli się na wyższych uczelniach i w technikumach ponad 260 pracowników oraz Zakłady im. W. Piętki w Żychlinie (130 uczących się osób). W opracowanych przez zakłady planach postępu technicznego problem wzmocnienia kadrowego stawia się jako jeden z głównych.

Warto także podkreślić, że we wszystkich zakładach przemysłu włókienniczego w województwie przeprowadzono rozmowy z mistrzami na temat konieczności podnoszenia przez nich kwalifikacji zawodowych. W toku rozmów zgłaszali oni zobowiązania na piśmie do podjęcia nauki na kursach, w technikum itp.

Na rezultaty tak szeroko zapoczątkowanej pracy trzeba będzie jednak poczekać. Nie jest to bowiem proces ani krótki, ani łatwy.

Pozostaje jeszcze inna droga — zasilenia kadry zakładowej dopiero rozpoczynającymi pracę absolwentami wyższych uczelni. W tym celu wiele zakładów funduje stypendia, stara się nawiązać ścisły kontakt z uczelniami technicznymi. Tu jednak województwo nie wytrzymuje konkurencji Łodzi. Siła wielkiego miasta, jego ruchliwego życia, wielorakich możliwości przyjemnego spędzenia wieczorów — to dla wielu młodych ludzi coś więcej niż życie w ośrodkach województwa.

I to jest pierwsza trudność. Druga wynika stąd, że mimo niespotykanego dotychczas rozmachu w budownictwie mieszkaniowym w województwie — tempo oddawania izb jest niższe niż w Łodzi. Można tu postawić się przykładem Radomska, w którym obliczono, że gdyby przy przydziale nowych mieszkań zastosować zasadę: 70 proc. dla pracowników starych i 30 proc. dla nowych — uzupełnienie kadry inżynieryjno-technicznej na tej drodze tylko, w zakładach mebli gętych, trwałoby 10-15 lat. Oczywiście — w stosunku do potrzeb



Dalszy ciąg
ze str. 1

wiceminister Gospodarki Komunalnej, Antoni Alster, obiecuje trolejbusy naszemu miastu, ale czy to sprawa jedynie „chcieć lub nie chcieć”? Przecież trolejbusy nie mogą w drodze podskakiwać po kocich łbach, a takich tras, gdzie trolejbusy stałyby się dożytkiem dla mieszkańców, niewiele jest w Łodzi. Już nawet niezależnie od tego, że deficyt MPK, co rocznie pokrywany przez miasto, wzrósłby o nowe kilka czy kilkanaście milionów (bo trolejbusy są w porównaniu z tramwajami i autobusami najniższym ekonomicznym środkiem lokomocji)...

Nie widzimy rozwiązania trudności komunikacyjnych w Łodzi przyszłości bez tzw. linii średnicowej biegnącej przez Bałuty i maksymalnie zbliżającej ludzi dojeżdżających do ich miejsc pracy w Łodzi, ale linia nie ma jeszcze swej dokumentacji. Minister Popielas nie zakwestionował praw Łodzi do takiej linii, ale jeśli jej budowę mamy zacząć w następnej pięcioletce, dokumentacja winna być gotowa w roku 1963. Czy jednak będzie? By zaprojektować linię średnicową trzeba mieć najpierw dokładne plany dróg, a tych planów miasto jeszcze nie posiada. Jest to jeszcze jeden ważny powód, dla którego powołanie w Łodzi (wzorem innych miast) Biura Studiów i Projektów Komunikacyjnych jest pilnym zadaniem na dziś, żeby nie powiedzieć na wczoraj.

Nie można również rozwiązywać codziennych problemów związanych z łódzką komunikacją bez zasadniczego wzmocnienia Wydziału Komunikacyjnego w Prezydium Rady Narodowej — musi to być bowiem zespół ludzi nie tylko rejestrują-

cych pojazdy mechaniczne ale i zdrowo planujących najpilniejsze zadania we wszystkich tym co, określamy komunikacją w 700-tysięcznym mieście. Jak słysząc, tym nowo zorganizowanym Wydziałem ma kierować człowiek z wyobraźnią i inżynier. A to już jeden z pozytywnych skutków omawianego plenum.

Wyobraźnia zresztą pomogła nam zrozumieć i pewne bolesne konieczności, jak konieczność wyburzenia w Łodzi 12 tys. izb dla potrzeb komunikacyjnych miasta.

— Nie trzeba ich będzie wyburzać wszystkich — pocieszał łódzian gość z Warszawy, twórca projektu układu komunikacyjnego m. Łodzi, prof. Jan Podolski z Instytutu Gospodarki Komunalnej — połowa domów przeznaczonych do rozbiórki dla celów komunikacyjnych sama się rozsypie.

A teraz słowo o tym, co możemy sami, a w czym powinni nam pomóc w ministerstwach. Z pewnością wielu uczestników plenum, gdy ujrzało na sali i ministra komunikacji i wice-ministra gospodarki komunalnej, pomyślało sobie tak: — Jak przyjechali, to może coś Łodzi dadzą!

I istotnie — obiecali pomoc w urzędzeniu w Łodzi trolejbusów, jeśli miasto opracuje dokładne plany, trasy i projekty potrzebne do uruchomienia tego nowego środka komunikacyjnego, po moc w budowie linii średnicowej, jeśli miasto na czas przygotuje plany dróg, obliczy nowe autobusy węgierskie, obiecali pamiętać o tych i innych potrzebach Łodzi.

Ale przecież ci sami ministrowie dziwili się, że inne miasta opracowują własne projekty nowych, przystosowanych do swoich potrzeb, wagonów tramwajowych i autobusów (np. warszawskie wozy przegubowe), a w Łodzi nic, cicho, jakby w Łodzi nie było inżynie-

rów i pilnych potrzeb komunikacyjnych.

W innych miastach przy okazji remontu wagonów tramwajowych unowocześnia się je, przystosowując do nowej techniki, potrzeb bezpieczeństwa podróży i wygodę pasażerów. A w Łodzi — nic, cicho, jakby nie było dzień w dzień trzech wypadków na tramwajach, jakby nie było „winogron” i „beczek śledzi”.

Ministerstwo za dwa lata przydzieli miastu nowoczesne wagony „13 N”, ale dlaczego to miasto dotąd jedynie czeka na pomoc z zewnątrz?

Ministrowie mieli rację — jest wiele spraw w łódzkiej komunikacji, które możemy załatwić sami. Np. milicja może i powinna szybciej załatwiać swe formalności związane z wypadkami drogowymi, i nie zatrzaskiwać ruchu kołowego na dwie trzy godziny, aparaty stereofotogrametryczne — tak ucieleśnione nazywamy — mają dopiero nadejść. Możemy też chyba zlikwidować korki komunikacyjne w Al. Kościuszki, gdzie co 50 sekund przejeżdża jeden tramwaj, i gdzie wystarczy drobny błąd, by całą tę karawanę zatrzymać. MPK ma w tej sprawie propozycje i warto je poważnie przedyskutować.

Stać nas wreszcie na jasno sprecyzowany plan likwidacji kocich łbów w Łodzi, choćby realizując go, co podsuwa nam wiceminister Alster — pokrywając kamieniem „dywanami” z asfaltu i betonu. Usuwając koczby by rozładujemy ulice centrum, bo dziś każdy kierowca pcha się na asfalt i kostkę, by nie drzeć opon na ostrych kamieniach. Czy zresztą od razu i wszystkie ulice w Łodzi mamy budować jak Rzymianie — na setki lat — w tym mieście, w którym 527 km ulic nie ma żadnej nawierzchni?

A w tej ostatniej sprawie, chyba najbardziej odczuwalnej przez setki tysięcy łódzian z Chojen i Bałut, Retkini, Złotna, Starowej Góry i tylu innych dzielnic naturalnych Wielkiej Łodzi, nie padły na „konsylium” konkretne propozycje i plany. A paść, wydaje się, powinny w najbliższym czasie, bo ojców miasta nie mogą być obojętne nie kończące się wertepy „świętej ziemi” na peryferiach miasta, odgrajane obywateli Wielkiej Łodzi od cywilizacji i kultury.

Nie sprecyzowano też ostatecznie stosunku do jednego opartego o naukę i doświadczenie projektu komunikacyjnego, jaki Łódź posiada, a mianowicie do projektu prof. Jana Podolskiego. Ten projekt przewi-

dywał pracę nad likwidacją stuletnich zaniedbań miasta już od stycznia 1961 roku. A Bogu dzięki plenum odbyło się w listopadzie 1962 roku, co oznacza, że w stosunku do tego, co można i trzeba było zrobić straciłoby już dwa lata.

Ala ostatecznie — nie od razu... chorego wyleczono.

informacje i zapiski

Kabaret „Wagabunda” wystąpił ostatnio z okazji 1500 przedstawienia „Programem jubileuszowym” w którym bierze udział cała plejada najwybitniejszych polskich artystów estradowych. Wystarczy wymienić choćby tylko: Dzwonkowskiego, Rudkiewicza, Michnikowskiego, Kobiela, Wysocka... Wiadomo, że rzecz będzie interesująca. Jak nieudolnie zganić, do Łodzi „Wagabundy” oczywiście nie zaproszono.

Łódzcy plastycy działają także poza granicami województwa. Profesor Zdzisław Głowacki, prorektor Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych projektował ostatnio wnętrze salonu „Leni Polskiej” w Szczecinie oraz wnętrze Domu Kultury w Wałbrzychu.

Kosztom ponad 150 tys. złotych przerabiała się słynna nocna knajpa „Casanova”. Znowu słyszymy zapewnienia, że lokal będzie najładniejszy w Łodzi. Nie możemy wyjść z podziwu jak trudno szefom łódzkiej gastronomii zrozumieć, że rzecz nie kończy się na nowym remoncie, kolorowych ścianach, klankach... „Casanova” była i będzie spełniona dotąd, dopóki najgorsze smęty miasta będą tam nile widziane, dopóki nie skończy się zasyłanie neronów z bywałcami o podejrzanej profesji.

Często w okresie wzmożonych zachorowań epidemii grypy itp. prawa zwykła narzekać na kiosk w aptekach. Warto zatem wiedzieć, że na jedną aptekę przypada w Łodzi ponad 13 tysięcy potencjalnych klientów. W najbliższych trzech latach powstanie w naszym mieście, głównie na peryferiach, 3 nowych aptek. Rozstrząsajcie to nieco tę trudną sytuację.

Uczniowie Liceum Pedagogicznego w Wolborzu zorganizowali ostatnio „Klub Młodzieży Myśliciel”. Znaleźli się jednak tacy, którzy pokpiwają z nazwy jak i z samego klubu twierdząc, że członkowie myśla o niebieskich migdałach. Aby ostrzec się przed złośliwościami radzimy młodym z Wolborza sprecyzować nazwę na „Klub Młodzieży Nie Myśliciel” o Niebieskich Migdałach”.

J. W.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

DOBRA KOMEDIA

Komedia „Dorose dzieci” która nie wiadomo dlaczego otrzymała w polskim przekładzie tytuł prawie dosłownie skopiowany ze znanej u nas serii komedii francuskich wyświechtanych kilka lat temu pod podobnym tytułem, jest zabawą filmową rozrywką posiadającą oprócz szczerego humoru wiele wartości wychowawczych i dokumentalnych. Reżyser Azarow oprócz nagromadzonych sytuacji komediowych ma w swym filmie do przekazania coś ważnego dla widza. Swą komedią próbuje wychowywać widownię w określonym kierunku. „Tata, mama, córka i zięć” są modelem przeciętnej inteligentnej rodziny radzieckiej. Jest to rodzina okresu stabilizacji; rodzina żyjąca na przeciętnym poziomie, eliminująca ze swego życia cały balast schematyzmu lat ubiegłych. Jest realną rodziną, której standard życia może osiągać coraz częściej większość mieszkańców Związku Radzieckiego. Film Azarowa zawiera więc wiele szczegółów, które mogą stanowić dokumentację radzieckiej współczesności. Nagromadzony w filmie bogaty obyczajowy materiał obserwacyjny składa się czasami z małych szczegółów jak np. sprawa ozdabiania ścian obrazami malarstwa nowoczesnego czy zanikający w Związku Radzieckim problem noszenia praktyczniejszych waskich spodni.

Te pozornie drobne szczegóły zawarte w świetnych dialogach składają się na realistyczną, optymistyczną całość przybliżającą bohaterów komedii do każdego z widzów. Reż. Azarow porusza w swej komedii problemy postępujących szybko zmian w społeczeństwie radzieckim; zmian, które napawają nas uzasadnioną radością. Bohaterowie radzieckich filmów schodzą coraz częściej z koturnów, są przeciętnymi, zwykłymi ludźmi z wadami i zaletami, ze swoimi nawykami.

Rolę Taty gra znakomity Aleksiej Grobiow, którego świetnym młodszym, męskim uzupełnieniem jest Aleksander Demianenko jako zięć, znany już u nas z filmów „Wiatr w oczy” i „Pokoły przychodzącyemu na świat”. W rolach kobiecych występują: Zoja Fiedrowa, aktorka starszego pokolenia znana z „Wielkiego obywatela”, „Człowieka z karabinem”. Jej filmową córką jest miła Lilijsa Alosznikowa jedna z najmłodszych pokoleń aktorskiego, u nas oglądana w filmie „Słońce świeci dla wszystkich”. Nowy film młodego reżysera jakim jest Willen Azarow dobrze świadczy o jego umiejętnościach warsztatowych i zasługuje na obejrzenie.

Rzadko można w naszej kinematografii odnotować przypadek tak zgodnej i tak zarazem skutecznej współpracy scenarzysty i reżysera jak właśnie w „Rodzinie Milcarków”. Wydaje się, iż Lutowski i Wyszomirski dali z siebie wszystko by położyć film na obie łopatki. I udało im się to, trzeba szczerze przyznać; znakomicie. Tylko pogratulować! Wyciągnięty z socrealistycznych bubli dramat „Wzgórze 35” Lutowskiego zajął pełnym swym blaskiem dzięki fatalnej adaptacji filmowej i jeszcze gorszej reżyserskiej misse-en-scene. Ale sprawa



Elżbieta Czyżewska w roli Ani

Fot. W. Nagi.

„GODZINA PĄSOWEJ RÓŻY”

„— O co chodzi w tym kadrze? — „Dużo ładnych zegarów. Rajtar z zegarem na brzuchu. Pierwsze ujęcie sceny u zegarmistrza. Nic. Ręka przesuwająca wskazówkę na godzinę 8, diabelski chichotek. Wszystko na off”.

„Kto to ma zrobić?” „Każdy kto ma rękę. I to trzeba skrócić dzisiaj i w bliskim planie. Proszę, robimy”.

Tajemnicza ręka przesuwająca wskazówkę na godzinę osmą. I jednocześnie — cofa nas o 80 lat wstecz. Ze starego, poólkiego dągotypu schodzi ku nam piękna ciocia Eleonora. Młoda, współczesna dziewczyna, Ania zostaje nagle przeniesiona w inną epokę. Jakże sobie poradzi — ze swoim współczesnym stylem bicia. bezpośredniością, dosadnym językiem, w tym niezwykłym świecie? Jakże da sobie radę w tej epoce, w której

panny obowiązywała skromność i wstydlwość — ale jednocześnie kapano się raz na miesiąc? Jak ułożyć stosunki rodzinne, tak przecież skonwencjonalizowane i tak odmienne od naszych? Jak potoczy się romans z Karolem?

Niech Alicja w Krainie Czarów — Ania przeżywa swoją Wielką Przygodę. Wszystko z czym się spotyka jest dla niej nowe, obce i śmieszne. Na przykład: ponieważ kandydat do jej ręki podobna się rodzinie, więc na tę intencję cały dom wraz ze służbą pości przez jeden dzień. Kandydat ma poważne szanse — przysłał przecież bukiet kwiatów, owiązany wstążeczką seledynowego koloru. Podczas przyjęcia zaręczył nowego tradycyjnym prezentem są lampy. Tańczy się walc — ale za nieletni uchodzi całowanie panów w rękę. A te stroje! Długie suknie, halki, gorsety, fal-

bany, wachlarze — jakże dziwnie czuje się w tych sukniach dziewczyna z drugiej połowy XX wieku!

„Godzina pąsowej róży” będzie więc filmem „fantastycznym”. Reżyser, Hanna Bielńska mówi o filmie:

„Chciałam pokazać „belle epoque”. Dobre, dawne czasy, które tak wiele mają stron komicznych dla naszej współczesnej mentalności. Nie chodziło tu jednak o jakąś wielką krytykę z pozycji politycznych czy społecznych. Chciałam pokazać przyjemne i nieprzyjemne strony życia na co dzień. Falszywość i skonwencjonalizowanie obyczajów — ale również i kulturę wzajemnych stosunków między ludźmi. Taki drobny żłodek: chłopak przychodzi na spotkanie z kwiatkiem w rękę. Delikatność — na przykład jeśli kandydat do ręki był w dojrzalszym wieku, to na przyjęcie zapraszało się wy-

POLSKI OPTYMIZM czyli „RODZINA MILCARKÓW”

nie jest bynajmniej tak zabawna jakby to się na pozór mogło zdawać.

W zreczny acz nieco kosztowny sposób pogrzebano jeden z ciekawszych i co więcej niezmiernie aktualnych problemów naszej historii. Czy parodia bohaterstwa powstania śląskiego z 1921 roku była efektem zamierzonym przez reżysera, nie wiem. Podejrzewam jednak, że nie. Czy wstrząsający dramat tytułowej rodziny Milcarków miał być satyrą na modne niegdyś dramaty z życia sfer „średniackich”, też nie mogę z całą pewnością powiedzieć. A zatem o co właściwie zaczęli twórcy chodziło: o film patriotyczno-historyczno-polityczny lub też tragedię spod znaku Antygony czyli Aleksandry Zawieruszkanki targanej konfliktem uczucia i obowiązku, miłości do męża i do ojczyzny. Choć

Kurt jest od początku tak niesympatyczny i tak otwarcie manifestuje swą podłość i nieczne zamiary, że trudno zrozumieć co ona w nim właściwie widzi. Ale z drugiej strony biedaczka nie ma własnie zbyt wielkiego wyboru. Bo ten drugi, czy też ściślej mówiąc ten trzeci też nie lepszy, tyle tylko, że pozytywny.

Najzabawniejsza w tym wszystkim jest jednak postać z jaką scenarzysta i reżyser „ukazują” mechanizm rządzący historią. Prawdziwy zaś podziw budzić już może beztroška z jaką potraktowali skomplikowane procesy psychologiczne postaci i dramat tzw. postaw. Wyjątkowo zła gra aktorów, właśnie A. Zawieruszkanki i K. Chameca znacznie ułatwiła zadanie twórcom tego filmu. Zresztą i bez ich cenego współudziału film rozlał się w szwach, traci na

miłą kiepskim teatrem, sztucznością dekoracji (makiety i zastawki), razi nieumiejętnością prowadzenia scen zbiorowych, a nawet niepoprawnością montażu. A już w podręcznikach ku przestrodze przyszłych pokoleń filmowców winno się cytować kulminacyjny moment całej tej dramy, rozgrywający się w podziemiach kopalni. Niezłóżka inwencji i doświadczenia by tak znakomicie rozładowała wszelkie napięcie u widza, zagmatwało sytuację i rzecz całą sprowadziła do absolutnego absurdu. Gdyby to Hitchcock zobaczył, padłby na miejscu rażony apopleksją. No cóż i Polacy nie gęsi... Mają inni swoje „nowe fale” i „nowe zmiany”, mamy i my nasz „antyfilm”. Widocznie taki, na jaki zasługujemy.

MARIA KORNATOWSKA

STANISŁAW STAN-WISNIEWSKI

KINO-PRAWDA

(KORRESPONDENCJA WŁASNA Z PARYŻA)

Robert L. Drew i Richard Leacock przyjechali do Paryża w niedzielę, we wtorek byli obecni na premierze ich trzech filmów „Kenya 61”, „Primaries” i „Eddie Sachs w Indianapolis” — w środę po południu zadzwoniłem do redakcji „Time and Life” — filmowcy odcieklili rano do Nowego Jorku. Nie bez racji Georges Sadoul z „Les Lettres Françaises” nazwał Leacocka i Drew najbardziej operatywną ekipą filmowców na świecie. Czy równie słuszną jest jego hipoteza, iż kinematografia światowa, za sprawą właśnie tej ekipy, znajduje się w przededniu rewolucji?

Na pierwszy rzut oka innowacje ekipy Leacocka mają charakter czysto techniczny. Po pierwsze, używają oni kamery wcale niezwykłej: pracuje ona tak cicho, że zdarza się niejednokrotnie operatorowi, jeśli nacisnie przez nieuwagę wyzwalacz, zmarnować 120 metrów taśmy — nie zauważy on nawet, że trzymana przezeń w ręku kamera filmuje. Druga właściwość kamery jest ona bardzo lekka — w roku 1960 ważyła 15 kg, dziś tylko 7. Wokół kamery Leacocka powstał mit. Podobno, za każdym razem po skończonych zdjęciach kamera jest zamykana w kasie pancernej.

Druga innowacja: operatorzy nie korzystają nigdy ze „światła” (sztuczne oświetlenie filmowanych obiektów), dzięki zastosowaniu bardzo czułej taśmy filmowej.

Po trzecie, dźwięk jest rejestrowany „na żywo”, jest zawsze autentyczny. Są to faktycznie ulepszenia techniczne, lecz efekt tych ulepszeń zastosowanych w ramach nowej metody stał się poważ-

nym osiągnięciem artystycznym. Ciche działanie kamery jest ważne nie tylko dlatego, że ułatwia nagranie dźwięku, lecz przede wszystkim — że nie sygnalizuje jej działania: ludzie, którzy zdają sobie sprawę, że są filmowani przestają być naturalni, zaczynają „grać”, pozować do zdjęć. Z tych samych powodów ekipa Leacocka nie używa nigdy specjalnego oświetlenia: ludzie oślepieni reflektorami przestają być sobą.

Mikrofony służące do rejestracji dźwięku są tak małe, że stają się praktycznie niezauważalne. Aparaty są nieobce. Pozostaje tylko człowiek. Właśnie: CZŁOWIEK, nie filmowiec, nie dziennikarz. Zanim Leacock ze swą ekipą przystąpił do kręcenia „Primaries”, poświęcił on trzy tygodnie na zapoznanie się z Kennedyem — jakże mógłby on później, w czasie wyborów, uważać ich za intruzów-dziennikarzy? Aby sfilmować działania wyzwoleniczej organizacji Mau-Mau w Kenii, filmowcy spędzili wiele godzin na dyskusjach z nimi. Bohaterowie po zostali sami na ekranie, prawdziwi, niesfałszowani.

Nie od razu dostrzegę się na czym ma polegać owa „rewolucja”. Na podobnej zasadzie oparta jest przecież realizacja wszystkich programów „aktualności”: zawody sportowe, defilady, przemówienia, demonstracje — wszystko co widzimy na kronice filmowej. Dobrze, ale czy widzieliście kiedyś na ekranie męża stanu inaczej niż uśmiechniętego, pewnego siebie człowieka, świadomego własnej obecności, waszego wzroku? Czy asystowaliście kiedyś w kinie przy roz-

mowie wódczów, gdy naradzała się, gdzie spędzić noc? Albo dwu słownych sportowców rozmawiających podczas śniadania o zbliżających się zawodach? Wódzów rewolucji podejmujących decyzje? Chyba nigdy. Jeśli zaś tak, to znaczy, że wsi wódczyby byli absolutnymi szkołami aktorskimi, lub że sportowcy długo uczyli się na pamięć tekstu bliskotłowej konwersacji, przygotowanej uprzednio przy biurku redaktorskim. W filmach Leacocka (dokładnie: Leacocka, Roberta Drew, D. A. Pennebaker, Gregory Shuker i innych członków ekipy) autentyczne postacie „przewodzą” autentyczne rozmowy. W „Primaries”, 35-minutowym filmie o wyborach przygotowawczych w USA, w roku 1960, widzowie oglądali Kennedy’ego (wówczas jeszcze senatora) zrezygnowanego, nerwowo zaciągającego się cygaretem, gdy nadchodziła na bieżąco wyniki wyborów wrzółty przegrana; rzucającego się w objęcia żony, gdy ostateczne obliczenia wykazały, iż uzyskał większość głosów. W „Eddie Sachs w Indianapolis” — widzimy automobilistę odmawiającego modlitwę przed startem do najniebezpieczniejszych wścigów samochodowych na świecie. W „Kenya 61” angielski kolonizator pokazuje „swych Murzynów” opisując ich zalety i wady przyjaźnielskiej pogawrdki. Bohaterowie tych filmów są naturalni, prawdziwi; zachowują się tak, jakby nie było kamery notującej każdy ich ruch, jakby nie było mpyetotomów rejestrujących każde ich słowo.

Co przyniesie technika zapoczątkowana przez Leacocka i jego przyjaciół? Może kamery-olówek dostępna dla wszystkich i tańsza niż np. maszyna do pisania?

naszych filmów. Starannie dobierano nawet najmniejszy guzik w kostiumie statysty, wzór firanki na oknie. Scenograf nie zgodził się na wykorzystanie jednej z lamp, ponieważ pochodziła z epoki... o 5 lat później. Przepiękne kostiumy są dziełem Ireny Nowickiej. W ten sposób „Godzina pąsowej róży” będzie właściwie jakby filmem dokumentalnym.

Zobaczmy w tym filmie ulice i domy starej Warszawy, wnętrza domów, salony, wnętrza opery, plażę. Ciekawym możemy zdradzić, iż w „operze” rozpoznajemy być może salę restauracyjną „Malinowej”, ale już trudno im będzie zorientować się, że filmowe „morze” to po prostu staw Stefankiego. Sproawadzone bowiem piasiek morski i zbudowano skarpę o długości 20 m, zakryto w ten sposób charakterystyczną roślinność, natomiast podczas wszystkich ujęć „morskich” przy brzegu jeżdżyły dwie motorówki robiące prawdziwą „morską” falę. Gorzej było tylko z aktorami, których „wrzucano” do wody przy 14 stopniach

Celsjusza. W tej chwili jednak zdjęcia już ukończono, a jeszcze w tym roku film zobaczymy na ekranie.

Scenariusz napisany został według powieści Marii Krüger, reżyseruje Hanna Bielńska, operatorem jest Kazimierz Konrad, kierownikiem produkcji — Wiesław Tymowski, scenografem Marek Iwaszkiewicz. W filmie zobaczymy m. in. Elżbietę Czyżewską w roli Ani, Lucynę Winnicką w roli Eleonory, Wiesławę Mazurkiewicz w roli Hanny, Jerzego Nasierowskiego w roli Karola. Piosenka, którą na przyjęciu zaręczynowym śpiewa Bogna Sokorska, oparta została o motyw oryginalnego kuranciku nagrałego w owej epoce. Ten sam motyw kompozytor, Zbigniew Turski, we „współczesnej” części filmu przedstawi nam w... przeróbce jazzowej.

ALINA GRABOWSKA

ZDRADA STANU- DINTOJRA- SĄD KAPITUROWY?

Dalszy ciąg
ze str. 1

na ministra, wówczas — zapewne za poradą starego, doświadczanego kanclerza, powołano komisję parlamentarną, składającą się z rzeczników i poplecników Adenauera i Straussa. Ostatnio, gdy uwaga wszystkich skupiła się na dramatycznych wydarzeniach w basenie Morza Karaibskiego, jedna z takich komisji, ukradkiem i pośpiesznie, odczytała pana Straussa z zarzutów odnoszących się do afery „Fibag”.

W dobrze poinformowanych kręgach mówi się już od jakiegoś czasu, że chwila rozrachunku między ministrem Strausssem a „Spiegel” jest bliska. Wskazywała na to ogólna sytuacja — zbliżający się termin nowych wyborów, nieuchronna konieczność rozstrzygnięcia sprawy następcy po Adenauerze, a wreszcie i gwałtowny spadek popularności Straussa, jego zarysowywanie się plajta polityczna, będąca konsekwencją — między innymi — odważnych wystąpień Augsteina i współpracowników.

I rzeczywiście, zgodnie z przewidywaniami nastąpiło konfederowanie ministra Straussa. Przygotowano je starannie i realizowano z efektem: rozmachem: nocą w kilku punktach bońskiej republiki grupy policjantów i funkcjonariuszy bezpieczeństwa dokonały aresztowania wielu osób z zespołu tygodnika „Spiegel” z Rudolfem Augsteinem na czele. Lokalny tygodnik został zamknięty i poddany drobnej rewizji, podobnie zresztą, jak prywatne mieszkania pracowników. Co więcej, minister Strauss zaryzykował nawet kryzys gabinetowy i poza plecami współrządczych kolegów, przez siebie tylko znane kanały dyplomatyczne spowodował aresztowanie jednego z współpracowników tygodnika „Der Spiegel” przebywającego na urlopie w Maladze. Aresztowanie to, sprzeczne z prawem

międzynarodowym, wywołało w Niemczech zachodnich konsternację: wiadomo przecież, że właśnie w Hiszpanii ukrywa się wielu przestępców hitlerowskich, których ekstradycji bońskie ministerstwo sprawiedliwości nie mogło ponieść osłagać. A oto w interesie pana ministra Straussa hiszpańska policja wystąpiła bez wahania, aresztując obywatela obcego państwa — i żeby sprawa była jeszcze pikantniejsza, całą tą akcją w Maladze dyktował jeden z bońskich pracowników dyplomatycznych.

Tak więc redakcja tygodnika „Spiegel” została rozgromiona, jej kierownicy siedzą za kratkami. Rzecznik rządu sformułował już zarzuty wysuwane przeciw nim: chodzi o sprawę poważną — o zdradę stanu — o „Landesverrat”. A rozmach policyjnej akcji i jej wyjątkowo okoliczności sprawiają, że przeciętny zjadacz chleba w bońskiej republice może być przekonany, że chodzi o jakąś wielką aferę szpiegowską, że zespół tygodnika „Spiegel” był — mówiąc po prostu — „siatką wywiadowczą” obcego mocarstwa. Oczywiście starannie opracowany scenariusz policyjnej akcji miał właśnie wyrobić takie przekonanie w szerokich masach społeczeństwa.

Tymczasem w wypadku tygodnika „Spiegel” nie ma mowy o żadnej aferze szpiegowskiej. Mimo to sprawy redaktora Augsteina stoją nie najlepiej. Grozi mu ciężki, brzemienisty w następstwie procesu, a minister Strauss może już dzisiaj z satysfakcją zacierać ręce, bowiem cała ta sprawa mieści się w tradycjach — powiedzmy od razu w najgorszych tradycjach — niemieckiego ustawodawstwa. I posiada szereg tragicznych precedensów, które mogły wskazać panu Straussowi metodę działania.

Trzeba wyjaśnić, że pod pojęciem zdrady stanu w tego typu aferach nie kryje się żadna akcja szpiegowska. Pojęcie to w ustawodawstwie zachodniemieckim łączy się ściśle z pojęciem „tajem-

nicy państwowej”. — Jeśli zdarzy się, że w dziedzinie militarnej ktoś wypowiada się głośno swą opinią w drodze publicystycznej narazi interesy państwa na szkodę zdradzając tajemnicę państwową, zarzut zdrady stanu pasuje wtedy jak ulał. Ale rzecz w tym, że po pierwsze żaden przepis prawny nie określa choćby w sposób mglisty, co należy rozumieć pod pojęciem tajemnicy państwowej. Definicję tego pojęcia w każdym wypadku w charakterze biegłego sądownego daje przedstawiciel kłki wojskowej, i zazwyczaj organizator takiej sprawy. Po wtóre, brak również w takich sprawach definicji szkody, jaką poniosło państwo i tu zadecyduje opinia biegłych wojskowych. Konsekwencje tego stanu rzeczy są oczywiste: własnie sprawy o zdradę stanu były tradycyjne w Niemczech, a szczególnie w Bawarii — ojczyźnie ministra Straussa — wykorzystywane do walki z przeciwnikami politycznymi. Dodajmy jeszcze, że rozprawy takie odbywają się zazwyczaj przy drzwiach zamkniętych i osłonięte są tajemnicą wojskową. Teraz obraz jest już jasny: dziennikarz, który zajmie się sprawą mającą związek z sytuacją militarną Niemiec zachodnich, w każdej chwili może stać przed zarzutem zdrady tajemnicy państwowej: a wtedy zostanie po prostu posadzony na ławie oskarżonych, a oskarżenia przeczyta mu prokurator wojskowy, a podlegli panu Straussowi sędziowie — oficerowie wymierzą mu wyrok.

Redaktor Augstein zdawał sobie sprawę, że walka przeciw odradzającemu się militarystom jest walką niebezpieczną. Mimo to prowadził tę walkę, ratując dobre imię dziennikarstwa niemieckiego. Miał wierz, że w sądownictwie niemieckim nastąpiły demokratyczne zmiany, może wierz, że nasze czasy nie sprzyjają sądom kapturowym. Czas wykaze, czy się nie pomylił.

Niestety, tradycja niemieckiego sądownictwa wskazuje, że trzeba się liczyć z tragicznymi dla odważnego dziennikarza konsekwencjami. A oto precedensy w sprawie tygodnika „Der Spiegel”.

Z powodzi spraw sądowych, jakie w latach Republiki Weimarskiej kryły pod pozorami wymiaru sprawiedliwości krwawe obrachunki soldateski niemieckiej, najbardziej godna przypomnienia jest sprawa pisarza Fechenbacha, sekretarza przywódcy socjalistów bawarskich. Fechenbach w roku 1922 a więc już po tym, jak reakcja bawarska krwawo rozprawiła się z lewicą została skazana na 11 lat więzienia za zdradę stanu. W więzieniu przeżywał aż do przewrotu hitlerowskiego, 30 czerwca 1934 roku Hitler podpisał komunikat o tym, że zdradca Fechenbach został zastrzelony w czasie próby ucieczki.

O co w sprawie przeciw-

ko Fechenbachowi chodziło? Otóż pisarz ten w kwietniu 1919 roku przekazał pewnemu szwajcarskiemu dziennikarzowi dokumenty z lat 1910-1914 rzucające światło na stanowisko Watykanu i ówczesnego arcykatolickiego rządu bawarskiego wobec niebezpieczeństwa wybuchu wojny światowej.

Jak później zeznał ów szwajcarski dziennikarz, Fechenbach przekazywał te dokumenty, po to, by w akcji publicystycznej, wykazać, że wybuch pierwszej wojny światowej był przygotowany przez kamarylę dworską, a w spisku tym brał również udział Watykan. Takie stwierdzenie w rozumieniu Fechenbacha rehabilitowało w jakimś stopniu naród niemiecki, który przecież został do tej wojny na wieczną zgubę wciągnięty.

Dokumenty te zostały wprawdzie w 1919 roku opublikowane, ale w powodzi ówczesnych wydarzeń sprawa poszła w zapomnienie. W parę lat później, kiedy w Niemczech zwyciężyła reakcja, Fechenbach został oskarżony o zdradę stanu i uwięziony. Trzeba było jednak niesłychanie karkołomnej konstrukcji prawnej, by w roku 1922 skazać człowieka za opublikowanie materiałów dotyczących przeszłości przedwojennej, a więc już zamierzonego. Bawarski sąd, który wydał na Fechenbacha wyrok równoznaczny z wyrokiem śmierci, w ten sposób ten mord kapturowy uzasadnił.

„Fechenbach dobrze wiedział, że na konferencji pokojowej w Wersalu jedynym obrońcą Niemiec mógł być papież. Opublikowanie materiałów obelżających dla Watykanu zmierzało do zrażenia papieża dla sprawy niemieckiej, było więc aktem zdrady stanu”.

Sprawa Fechenbacha jest tylko wybranym przykładem z lawiny kapturowych sądów, jakie miały miejsce w Niemczech, tym kraju tradycyjnie rządzonego przez soldateskę. Trzeba chyba jeszcze wspomnieć i o zupełnie analogicznej sprawie tygodnika „Der Spiegel”, historii Karla von Ossietzky’ego i wydawanego przez niego pisma „Weltbühne”. W 1931 roku Ossietzky został skazany na długoletnie więzienie za swoją działalność wymierzoną przeciwko odradzającemu się militarystom i niemieckiemu. Kwalifikacja prawna procesu Ossietzky’ego była niemal identyczna ze sprawą red. Augsteina. Jak wiadomo Ossietzky osadzony przez Hitlera w obozie koncentracyjnym został w roku 1936 laureatem nagrody Nobla za działalność w dziedzinie pokoju, co zresztą tylko pogorszyło jego sytuację. Zginął w 1938 roku.

Tak więc pan minister Strauss wybrał dla rozprawy z tygodnikiem „Der Spiegel” ścieżkę już przetartą. Najbliższą przyszłość wykazuje czy naprawdę dziś, jak przed laty, można w ten sposób w Niemczech zachodnich rozprawić się z przeciwnikami politycznymi.

JAN BABIŃSKI

ZŁOTE RĘCE ZŁOTE JABŁKA

Zacznę od zdarzenia prawdziwego, noszącego pozory anegdoty. Przed urzędową osobą w Kutnie stał się w prywatnej sprawie rolnik z Teresina. Gospodarz młody, wygadany. Z miejsca uderzył w ton poufali:

— Zamierzam kupić samochód, słyszę jednak, że lubicie sypaną takim domiar, że przejdzie mi ochota na auto. Jak to jest z tym domiar?

Urzędnik nie poczuł się u razony obecnością pytania. Jeszcze kilka lat temu młody rolnik zasiadał przecież przy biurku. Osoba urzędowa znała rolnika nie od dziś. Chłop skończył wprawdzie szkołę rolniczą, a potem w pogoni za ciepłym stołkiem wyjechał na etacie w Kutnie. Tam szybko wywachał, że stołek kolcami wycielany, nie pułchem złotych, że tylko czas traci. Zwinął manatki i uciekł z powrotem na rodzinną wieś. Przejął 5-hektarową gospodarzkę po ojcu. Zagrode przelicował, wywrócił do góry nogami. Ziemiaczki i owies? Koń by się uśmieł. Szkoda na to ziemi, potu szkoda, a także... konia. Niechaj cebulka złozi się na pysznej ziemi, szałki rosną, ogórki niechaj pęcznią. Ani się kto obejrzał i dawny biuralista wystawił obszerne domostwo, wieloizbowe, nieczym jakimś farmer z Teksasu. Chłop zaparł się mocno w siodło, wyprostowany, pewny siebie pocwałował. Teraz ze spokojem wpatrywał się w osobę urzędową i pytał o domiar.

Urzędnik na eksponowanym stanowisku dał taką odpowiedź:

— Domiar? W żadnym wypadku, przecież wasze dochody są ujawnione, oparte na kontraktach z centralą ogrodniczą i GS-em. Wiem, że za same jaja dostaliście w tym roku 50 tysięcy złotych. Nie ma się do czego przyczepić, domiar nie wchodzi w rachubę.

Rolnik, który niegdyś próżno szukał klucza do sezonu w mieście, wrócił do Teresina uspokojony. Można kupować, do samochodu nikt się nie „przychizani”. Nie będzie to zresztą pierwsze auto w tej wsi.

Pierwsze sprowadził właściciel małego gospodarstwa, nad podziw udanego. Same szkółki, róże i jarzyny. Różnie tak, że nawet Bułgarzy dostaliby wypieków. Każda piędź ziemi uprawia się tu jak w ogrodzie nad Zuidoerem. Ogrodnik mieszka w willi, jak z bajki, jeździ limuzyną.

Tak się złożyło, że o Teresin zahaczyła wycieczka amerykańskich farmerów. Goście już mieli się zabrać z powrotem gdy ich wzrok padł na studnię. Wydali okrzyk triumfu, nareszcie, nareszcie... Zobaczyli autentyczną, średniowieczną studnię z żurawiem. Psst, psst, please, please, cudownie! babina w tragicznie długie chustki i ta koniewka wsparta o sosnową cembrowinę. Co za „souvenir”, dopiero „friends” z Ohio i cała „family” wybaluszą ślipa. Nagle taniec kodaków wokół studni zamari, farmerzy przetruli oczy. Przywidzenie czy co? Auto stało w garażu, prawdziwy „car”. Minęła dobra chwila nim skrzywili się w wymuszonym uśmiechu. Błąd nęli z zażenowaniem:

— Wiemy, wiemy, musielicie to zrobić. Wyście przytaszczyli tutaj ten „car” żeby nam pokazać, jak to chłop indywidualni jeżdżą własnymi autami. Taki humbug, reklamowana blaga. Znamy ten trick...

Na nie się zdali zapewnienia gospodarza, że wóz jego, że mogliby wskazać jeszcze innych posiadaczy aut na wsi. Goście uśmiechali się uprzejmie, mrugali porozumiewawczo i nie wierzyli ani jednemu słowu. W ramach ich wiedzy o rolnictwie nie mieściło się, by właściciel lilipuciej farmy, dobrej dla krasnoludków, mógł sobie pozwolić na samochód. Ukłon w stronę obiektywizmu. Z ich punktu widzenia mieli rację. Po drugiej stronie oceanu w takich ogródkach spędza się z rodziną week-endy. Kto chce żyć z roli, musi mieć w Stanach jedną „square-mile” ziemi pod traktorem i plugiem.

Nie wszędzie więc z tą samą miarą. U nas można się wywiodnąć na same szczyty zamożności na wależ cebulce wolskiej. Tej, którą kupcy w Hamburgu nazywają „polskim złotem”, a paryscy restauratorzy „polskim delikatem”. Różni bywa. Jednemu harmonia, drugiemu skrzypce. Soltyś z Koziej Góry to żaden „badylarz”, zwykły sobie rolnik, a jednak... Uprawia na 7-miu hektarach rzepak i buraki cukrowe. Tak uprawia, że i w Danii wzięli by go za swego.

Bardzo zaradny chłop, z tych co to liczą ziarno w stodole. Na odprawy sołtyś w Kutnie przyjeżdża własną „Warsawą”. Nie wiadomo wówczas kto komu pierwszy czas się kłaniać. Chłop prezosił czy prezosił. Zawsze z tego jest ambaras, gdy się zetkną w drzwiach. Nie tylko „badylarstwo” jest tyczką do skoku, poręczą na schodach. W Rdutowie ludzie robią majątki na trawach nasieniach. Rola to wielkie organy, pedatów mnóstwo, byle tylko wiedzieć gdzie nacisnąć, kiedy i z jaką siłą. Patałach sfalszuje i go wygwizda.

Gdzie zeszła ma się rościć jak nie na kutnowskich ziemiach z dawną płynących miodem i mlekiem. A także cukrem z Dobrzeli. Wolnego, nie wszędzie pachnie tu miodem, gorczycą też pachnie i piotunem. Wieś Kały, co za koszmarny budy. Degrengolada, smutek chwałostów i zielsk na polach. Do tych Kałów przybył działacz z powiatu. Zniechęcony tym co ujrzał, wypalił nie siląc się na konwenanse:

— Poczuć się wreszcie gospodarzami, do diabła. Czemu nie rządzą się jak sąsiedzi?

Odpowiedział mu zadziwiająco zgodny chór głosów:

— My ludzie „nadzieleni”, my nie gospodarze.

Masz babo płacek. Już 17 lat minęło z wiatrem, a ci ludzie wciąż dają do zrozumienia, że czekają na dalsze wsparcie. Niechaj państwo wystawi dla nich nowe domy, niech obory pობудuje i wprowadzi do nich

THE TIMES —
London

...Ten nocny natot policji, te wielogodzinne przesłuchania i nie kończące się rewizje, cała ta metoda, niestety, jakie przypomina akcje policji niemieckiej z niedawnej, smutnej przeszłości...

LE MONDE —
Paris

...Trzeba było zakończenia afery Fibag, by pan Strauss mógł przejść do przeciwnatarcia. I chyba akcja przeciw tygodnikowi „Spiegel” była przez pana ministra od dawna już przygotowana.

ILL MESSAGGERO —
Roma

...Oczywiście nie można poważnie traktować zarzutów o

zdradę tajemnic wojskowych. Rewelacje tygodnika „Der Spiegel” z całą pewnością nie były tajemnicą dla wojskowych ekspertów.

LE FIGARO —
Paris

...Strauss działa z chęcią zemsty, ale cała ta akcja może się obrócić przeciw niemu. Lecz niezależnie od tego trzeba jeszcze i ubolewać nad metodami zarówno policji, jak i bońskiego wymiaru sprawiedliwości. Metodami, które tak fatalnie przypominają osławione zwyczaje hitlerowskie.

NEWS WEEK —
New York

...Strauss został doprowadzony do takiej wściekłości, że urzędnicy jego ministerstwa od dawna przepowiadali redaktorom tygodnika „Der Spiegel” przymusowy pobyt za kratkami. No i w ubiegłym tygodniu rzeczywiście redaktorzy znaleźli się za kratkami. Ale czy Straussowi uda się zmontować i przeprowadzić ten proces?

BERLINSKE
TIDENSE —
Kopenhagen

...Była to samoobrona ministra Straussa, który postanowił w tak drastyczny sposób zamknąć Rudolfowi Augsteinowi usta. Bowiem Augstein od dawna już nie dawał spokoju panu ministrowi, widząc w nim symbol tego wszystkiego, co tyle razy już zaciążyło na losach Niemiec i świata: symbol niemieckiej buty, odradzającej się soldateski i nieukrywanej hitlerowskiej mentalności.

LA STAMPA —
Turin

...W tej sprawie wszystko jest niejasne, prócz jednej konkluzji. Znalezione pretekst, by rozprawić się z jedynym w zachodnich Niemczech niekomformistycznym organem prasowym.

INFORMATION —
Kopenhagen

...Sprawa Augsteina raz jeszcze przypomniła, że w zachod-

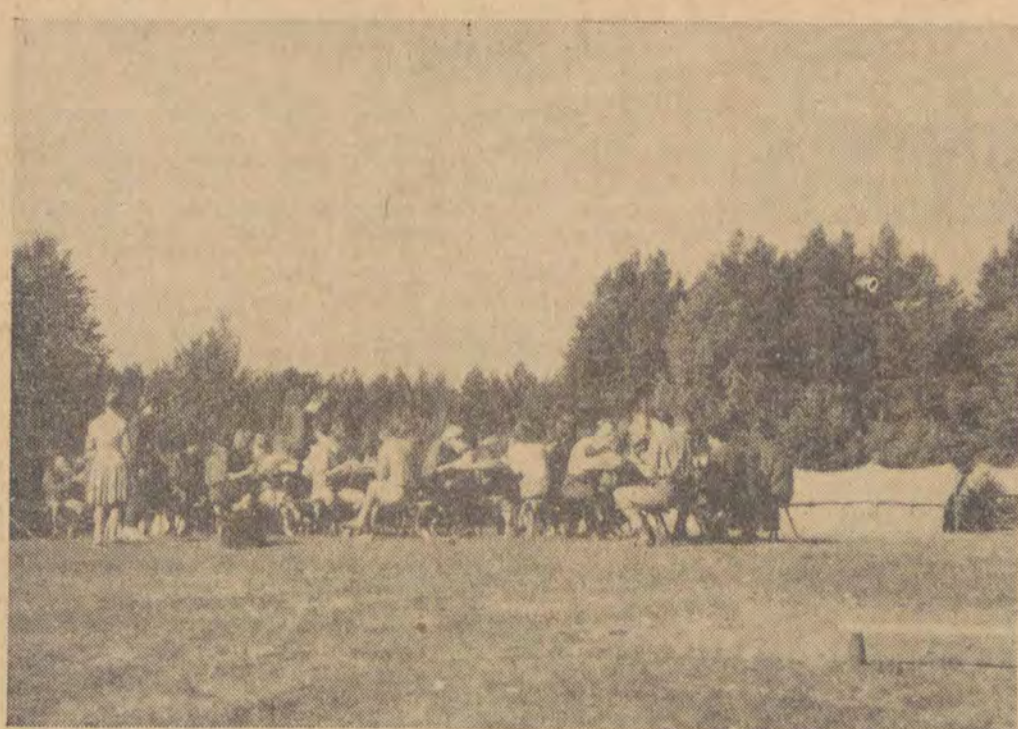
niemieckiej policji aż roi się od gestapowców i byłych członków SS.

FRANCE
OBSERVATEUR —
Paris

...Na podstawie lektury artykułu, który wywołał taką reakcję pana Straussa można stwierdzić tylko jedno: że zachodniemiecka armia jest niewiele warta. Ale to przecież nie nowego. Pożłoski na ten temat już od dawna krążyły zarówno w Niemczech, jak i w kręgach militarnych zachodnich sojuszników.

TAGBLADET —
Oslo

...Stare, zle zwyczajne przetrwały w niemieckiej policji. I jeśli akcje przeciw tygodnikowi „Spiegel” nie poprowadził sam prokurator generalny, to stało się to tylko dlatego, że pan ten niedawno odwiedził na emeryturę. Wyszło bowiem na jaw jego współdziałanie z hitlerowskim aparatem terrorku. Cóż więc dziwnego, że podwładni pana generalnego prokuratora przejęli takie właśnie metody?



WIESŁAW MACHEJKO



Gdy zwinięto NAMIOTY...



Jesień. Już dawno harcerze zwinęli namioty i teraz w ciemności szkolnych izdebek harcerskich wspominają obozowe wspaniałości. Jak koczujący szczerp cygański odżyją wiosną, latem ruszą znów na biwaki. A teraz je sienią wegetują. Wegetują przez 10 miesięcy w roku. Na przygotowanie wakacji szykują się przez jesień i zimę, i wiosnę.

Jakie problemy nurtują łódzkie harcerstwo? Starałem się poznać je na jednym z obozów, gdzie szkolono kadry dla łódzkich szczerpów i drużyn harcerskich.

Sprawa kadry jest w tej chwili najistotniejsza. Kadry brakuje. Dlaczego tak jest? Harcerstwo nasze trapi w tej chwili plaga reform. Ile ich już było? A ile jeszcze będzie? Metodyka, stopnie, funkcje, sprawności, wszystko co roku jest inne. Przez szacunek dla wieku i urzędu najstarszej, najbar-

dziej oddanej organizacji kadry zachowano jeszcze stare stopnie. Ale nie są one celem, do którego może i ma zdążyć najmłodszy harcerz z szarym sznułem. Bo w wyniku reform nie ma już stopni, które zdumiały noszą na krzyżach jego przywódcy. Gdzie jak gdzie, ale w pracy z młodzieżą potrzebna jest jakaś stabilizacja pojęć i koncepcji. Przynajmniej na kilka lat.

Harcerstwo wraz z całym społeczeństwem przeżywało znane przemiany w odpowiednich okresach historycznych. W 1949 roku odeszła z organizacji znaczna grupa instruktorów. Stworzono harcerstwo na zupełnie innych wzorach. W pracy wytworzyła się nieco inna sylwetka organizatora i wychowawcy młodzieży. Kiedy w roku 1956 okazało się, że system harcerski sprzed 1949 roku nie było wcale tak zły, że w końcu nie mieliśmy tak wiele wspólnych interesów z Baden-Powellowskim skautingiem, do organizacji powrócili niedobitki zapaleńców w podeszłym już wieku. Oni to pełnią dziś w harcerstwie wysokie funkcje. Ale są ze względu na swe stare stopnie, jak się rzekło po trosze „malowanymi generalami”. Harcerstwu brakuje średniej kadry i kadry niższej, która bezpośrednio może pracować z młodzieżą szkolną.

Mamy w Łodzi 410 drużyn i około 14 tys. harcerzy. Ale mamy też w mieście ponad 110 tys. młodzieży szkolnej w wieku harcerskim. Tak więc organizacja obejmuje tylko około 15 procent dzieci i młodzieży.

Skąd wziąć średnią kadry? Harcerstwo jest organizacją, czy kto chce czy nie, nieco podobną do wojska. Letnie obozy, gry terenowe, mundury, musztra, życie w warunkach terenowych, dyscyplina — wszystko to imponuje młodzieży. Imponuje i to, że jedni rozkazują, drudzy słuchają. I to, że każdy, kto wykazuje się osobistymi zdolnościami, może zostać dowódcą. Dawniej drużynowy rósł w zastępie od szarego sznurka i stop-

nia młodzika poprzez funkcję zastępowego, przyboczno itd. Wymagało to paru lat zdobywania doświadczeń obozowych, takich cech jak zaradność, pomysłowość, tężyzna fizyczna, poczucie dyscypliny, koleżeńskość itd. Z przyczyn wyżej wymienionych, a głównie z braku trwałości założeń metodycznych, braku tradycji organizacyjnej, którą każda reforma niszczy, notuje się znaczny odpływ wartościowych ludzi, którzy po przekroczeniu pewnej granicy wieku, kiedy mogliby pełnić funkcje instruktorskie, właśnie odchodzą z organizacji. A więc dziś musimy zaczynać od końca, od instruktora.

Potrzeba jest matką wynalazków. Tak więc Komenda Chorągwi Łódzkiej wpadła na pomysł, by pracą w harcerstwie zainteresować kandydatów na I rok studiów nauczycielskich, przyszłych wychowawców i pedagogów, którzy z racji swego zawodu będą w przyszłości na gruncie szkoły stykać się z harcerstwem. Jeśli nawet nie zostaną opiekunami drużyn czy szczerpów, jeśli nie zechcą pełnić funkcji w ZHP, to przynajmniej sprawy tej organizacji nie będą im obce.

Trzydziestu kilku słuchaczy I roku SN zaproszono na trzytygodniowy obóz w Serwach nad jednym z jezior augustowskich. Pierwsze dni nie były łatwe, szczególnie dla starej, rozmiłowanej w harcerskim trybie życia kadry obozu. Podkomendni traktowali swój pobyt jako doskonałą zabawę w wojsko i okazję do zajęć „LB” czyli „leżenia bykiem”. Komendant obozu Józef Niewiadomski i komendantka Władysława Matuśewska robili sobie w pierwszej chwili gorzkie wyrzuty za ten pomysł. Dni mijały i sytuacja niepostrzeżenie ulegała zmianie. Czas zawarty pomiędzy dniami, kiedy po raz pierwszy nie-uwagnym wartom skradzio-

Dalszy ciąg
na str. 8

siedem tłustych krów o wymionach jak dynie. Ziemię dostaliśmy, pięknie dziękujemy, tylko co z tym fantem zrobić? My ludzie „nadmienieni” nie w pełni więc samodzielni. Nie wiedzie się nam, idzie jak po grudzie. Zła gwiazda świeci nad nami.

Wiesz Czerwinka „parcelanci” tej wsi dawno już wrosli w starą społeczność. Wyróżniają się dostatkami. Pobudowali się. Domki jak z piernika, cegła, dachówki, blacha cynkowa. Niemal w każdej zagrodzie motocykl, radio, dywan pod stołem, tapczan pod oknem. Wiesz Bielawki. Wszyscy aż rwą do przodu. Co rusz ktoś jedzie do Kutna, sprowadza „kryształ i forniry”. Tylko jeden gospodarz stoi w miejscu jak wkopany. Za nic nie może się wygrzebać. Za co się weźmie wszystko mu się rozlaży. Pech czy co?

— Nie stworzony do roli — powiadała na wsi. Nie wiem, być może. Przecież to absurd sądzić, że każdy kto urodził się na roli jest zdolny do pracy na tej roli. Rolnikiem też nie można być na zawołanie. Grać w ciemno można tylko w oczko. Z wiadomym skutkiem. Ziemię trzeba znać jak własne dionie, „czuć” ją, łowić uchem jej głos. To wielka sztuka. Nie zawsze nabędzie się jej nawet na wyższych uczelniach.

Teraz hiperbola myślowa. Jestem zdania, że kto płaci podatki prawie zawsze zdaje egzamin na roli. „Od śmierci i podatków nikt jeszcze nie uciekł”. Może dlatego kilkuset kutnowskich rolników w ogóle nie próbuje uciekać. Po kiego licha. Nie płaci podatków i basta. Dużo im kto zrobi. Sami ledwo zięją. Krowinę zabierać? Taką, że na jej żebrach można grać jak na palce? Co więc robić? Jeszcze przedawno w takim

wypadku zbierała się spólna komisja. W myśl salomonowej mądrości, że z próżnego sam diabeł nie należy, wyrokowała:

— Chłop nie ma z czego płacić. Zaległości należy umorzyć. Trzeba mu dać szansę.

Dawano więc szansę, sznur szans, tylko, że nie każdy chciał się go uczyć. Otwierano przed dłużnikami coraz to inną furtkę z tym rezultatem, że gospodarstwa i tak doszły na skraj ruiny. Ucho się wreszcie urwało, na mocy wysokiego postanowienia zabawa w ulgi i umorzenia już przerwano. Na względy może liczyć tylko rolnik istotnie dotknięty chorobą czy żywiołem. Wtedy nie pozbliża się już nikomu. Zaległości są scalane, odkładane „na kupkę”. Gdy urosnie z tego okrągła sum-



ka, na wsi zjawia się przedstawiciel władz i złoży takie w przybliżeniu oświadczenie:

— Marnujesz bratku ziemię. Gospodarstwo jest tak zaniedbane, że wstyd patrzeć. Pójdiesz czekać na rentę, albo do innej roboty. Wybieraj! Ziemię przejmujemy PGR. Rozliczenie nastąpi w trybie wyroku sądu powiatowego.

To już nie przelewki. Zaden kraj, który się uprzedmawia nie może „kichać” na ziemię. Grunty orn- to

wówczas skarb nad skarby. Wartość tych gruntów pnie się ostrą linią w górę. Kto nie potrafi dostosować się do rytmu dnia, musi odejść na boczny tor. To już nie strachy na lachy. Marnotrawiona ziemia przejdzie na rzecz PGR, spółdzielni produkcyjnych. Jeśli zaś chodzi o kutnowskie PGR to stanowią one krajową czołówkę.

I znów drogi przecinają się z amerykańską wycieczką. Farmerzy zwiedzili także gospodarstwa rolne. Zatrzymali się w Chodowie. Kierownik gospodarstwa uraczył farmerów rybą, pieczeniem, szynką, zakąskami, całym multum delikcji. Farmerzy dali koncert. Pod koniec przyjęcia jeden z nich zapytał:

— Wonderfull, wspaniale, tylko powiedzcie moi mili, co z tego co jedliśmy, co piiliśmy, pochodzi z waszego gospodarstwa?

— Wszystko — odpowiedziano — wszystko z wyjątkiem wódki.

Tym razem goście uwierzyli. Gospodarstwo pochwalili. Nie zdawkowo, szczerze pochwalili, od serca. Znali się wszak na robocie w dużych farmach. Tak, kutnowskie PGR to solidne firmy, gotowe przejąć każdy skrawek zaniedbanej, czy leżącej odłogiem ziemi. Powtarzam, to już nie żarty, do ludzi marnotrawiących narodowy skarb już się dobrano. Miarka się przebrała, rachunek żąda zapłaty. W Długolecie pokazują niejakiemu Władysławowi C... i mówią:

— Zalegał w podatkach 32 tysiące złotych. Chłop z dziada pradziada, jednak w ubiegłym tygodniu państwo weszło mu na ziemię. Musiał oddać za długi 4 hektary ziemi. Taki wyrok zapadł w sądzie powiatowym.

Władysław C... to owe exemplum do sztambucha.

Posiadał 12 hektarów żywej, słuchającej, zdrenowanej ziemi. Tylko, że jegomość wolał wygrzewać się na kościelnych schodach we Włocławku i Łodzi, wyciągać rękę po gotową monetę, niż ją wyciskać własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pustą kieszenią. Pyszna zaś u niego ziemia, wypoczęta i płodna daremnie czekała na ziarno. Chłop wypłynął na rolę, miał podatki gdzieś. Odebrano mu 4 hektary ziemi, niż ją wyciskał własnym potem z ziemi. Jeździł przeto po świecie jak ten komiwojażer, tyle że z pust

Wiersze z tomu „Odwrócony kamień“, który ukaże się niebawem nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

BERNARD SZTAJNERT

PRZEJŚCIE STARCÓW

Starcy przechodzą mostem, a za nimi krowy,
Pod mostem płynie rzeka, rzeka tylko z wody,
Wodorostów wydętych i rozmięklej ziemi.
Starcy przechodzą mostem, przechodzą zgarbieni,
Za nimi idą krowy, za krowami konie.
Rzeka jest tylko rzeką, most nie jest symbolem.
Krowy wężą oborę, konie wężą stajnie,
Starcy przechodzą mostem, przechodzą zwyczajnie.



Tak mało mnie w przestrzeni, miną smutne burze.
Świeci kolejne słońce już prawie bez mnie,
Drobne znaczenia liści są barwą, szelestem.
Gdzie są krzewy znajome, gdzie są moje wiatry?

Był deszcz mi otwierał nieznane południe,
Poprzez światła w mokradło, w zieleń dla borówek.
Dla głowy nagle wielkiej, dla głowy pluszowej
Niedźwiedzia, który umarł wyspany z siebie.

Nie rozumiem już sosen, w której rosną ziemi;
Gdy pomyślę, że twarde — kamienie rozmiękną.
Pada deszcz nieznajomy kroplami obcymi,
Chmury wróżą mi o mnie schyłone nad ręką.



Tylko dla siebie wybrany z milionów,
Dla innych liczny z powieloną twarzą,
Z zamkniętym w sobie negatywem myśli.
Przychodzi do mnie ulica z latarnią,
Słucha mnie w bramie nocny bełkot stróża.
To on na miotle oparty ostatniej
Z minionych miotel długiego szeregu.
Stróż Egiptu, Koryntu i Rzymu
Od mego stróża znacznie mniej obecni
Stracili miotły i stracili ręce,
Stracili domy, oddech i ulice,
Zostali gestem odkładanej miotły,
Zostali stróża mojego profilem.
Co do mnie, żyję wybrany dla siebie
Z wielu żyjących, dla siebie wybranych,
Wybranych pięknie, mniej niż ja obecnych.
Ja mniej obecny jestem może dla nich,
Jestem ich śmiercią, poznają mnie starcy,
Młodzi przychodzą do mnie zamyśleni
I zatrzymani przed powierzchnią ciała,
Które uczono nazywać ich moim,
Proszą mnie cicho: zamień dziś się z nami
Na oczy, usta — możemy wybierać
Z różnie obecnych i kiedyś j teraz.

sedno rzeczy MARIAN PIECHAŁ WDZIĘCZNOŚĆ dla NAUCZYCIELI

W listopadzie br. odbył się czwarty z kolei zjazd byłych wychowanków dawnego Gimnazjum Miejskiego im. Józefa Piłsudskiego w Łodzi przy ulicy Sienkiewicza 46. Byli to przeważnie starsi panowie, niektórzy z lekką łysiną, inni z poważnie zaawansowaną siwizną, ale wszyscy jeszcze w tak zwaną siłę wieku, która przydaje powagi dojrzałością swego doświadczenia nie tracąc niczego z młodzieńczej, rzekłbym, żarliwości uczuć i żywiołowej fantazji. Zebrali się w starych murach swej dawnej uczelni, by oddać hołd zasługom jej założyciela i dyrektora, Leona Starkiewicza, przez uroczysty akt odsłonięcia tablicy pamiątkowej ku Jego czci.

Tyleż to niezwykła, co skromna i nie znosząca rozgłosu postać. Twórca najwybitniejszej w okresie dwudziestolecia szkoły średniej w Łodzi — twórca nie tylko w sensie jej założyciela, ale przede wszystkim w sensie nadania jej specyficznego charakteru społecznego, metody pedagogicznej, stylu wychowawczego, wreszcie wysokiej ideowej atmosfery. Wszystkie te cechy razem złożyły się na wyjątkowy poziom i wartość tego jedynej w Łodzi zakładu wychowawczego, którego założyciel i twórca był zarazem jego kierownikiem od początku do końca jego istnienia. Ta szkoła była największym i jedynym dziełem jego życia. Dochodził do tego dzieła powoli, latami cierpliwie wytrwałości i drogą pełną poświęceń, oddając mu całą swoją ambicję, wszystkie swoje pasje, wszystek trud swego życia. Szkołę, którą stworzył, jak artysta swemu dziełu, oddał się bez reszty. Dlatego we wdzięcznej pamięci uczniów nazwisko jego stało się symbolem tej szkoły: on to szkoła, a szkoła to on.

Urodził się w Będzinie w roku 1881, w rodzinie inteligentnej pracującej. Wczesnie zetknął się z niedolą życia robotniczego. Zbliżył się do socjalizmu, stał się jego realnym wyznawcą, przystępując jako nauczyciel do walki z ciemnotą. Uczy najpierw w Piotrkowie, a potem przenosi się do Łodzi, największego środowiska proletariackiego i centrum ruchu robotniczego. Tutaj marzy o założeniu szkoły wyłącznie dla dzieci robotniczych i warstw najuboższych. Po latach zabiegów i w ścisłej łączności z lewicowymi organizacjami społecznymi w naszym mieście udało mu się zrealizować to swoje marzenie w roku 1916 w skromnej postaci 4-klasowego Progimnazjum Miejskiego. Mieściło się początkowo w gmachu przy zbiegu Skwerowej i Dzielnej (dziś Narutowicza). Potem zostało przeniesione na Targową 16 (dziś Szerlinga), tuż w bezpośrednim sąsiedztwie więzienia. Nie wiem, jak wychowawczo oddziaływało na uczniów i nauczycieli to ponure sąsiedztwo. Jeśli chodzi o mnie, to skłaniając w czerwcu 1920 roku egzamin wstępny do klasy II tego Gimnazjum pomyślałem sobie: który z tych dwóch obok siebie zakładów wychowawczych jest bardziej skuteczny w życiu — szkoła czy więzienie? I doszedłem do wniosku, że,

aby ewentualnie nie dostać się do więzienia, trzeba tym pilniej uczyć się w szkole.

Dopiero od września 1920 roku szkoła przeniesiona została do obecnego gmachu przy ulicy Sienkiewicza 46, awansując rok przedtem do stopnia 8-klasowego Gimnazjum Miejskiego. Wyobrażam sobie, jakie pocucie triumfu i nowego zapału do dalszych wysiłków musiał wzbudzić ten fakt w twórcy i dyrektorze tego Gimnazjum. Otwiera się przed nim nowa karta zadań w warunkach niepodległości narodowej. Ten z umysłu polityk, a z serca romantyk, dochował wiary idealom swej młodości. Szkoła o typie możliwie w nowych warunkach praktycznym, a więc matematyczno-przyrodniczym, służyć ma wychowaniu nowego obywatela, tego z najszerzyszych, dotąd upośledzonych klas społecznych. Z idei socjalizmu w okresie niewoli szkoła ta powstała i socjalizmowi w okresie niepodległości powinna służyć. Oczywiście nie był to program tej szkoły pisany, ani nawet głośno mówiony, ale był w tej szkole praktycznie choć nieumownie realizowany. Ze tak było, poświadczali to później jej wychowankowie, zajmujący dziś w swej znakomitej większości najpoważniejsze pozycje w postępowym ruchu społecznym, intelektualnym i politycznym naszego kraju. Wszyscy oni z gorącą czcią wspominają niezwykłą postać założyciela i dyrektora swej szkoły, Leona Starkiewicza.

Na czym polegała ta jego niezwykłość? Stworzył szkołę, która była nie tylko zakładem naukowym, ale zarazem i wychowawczym. Zresztą w swojej praktyce pedagogicznej nie odróżniał nauczania od wychowywania, jedno było synonimem drugiego. Wychodząc z takiego pojmowania szkoły dobrał sobie odpowiednio zgrany i sprawny zespół nauczycielski, przepojony tym samym zapałem i tym samym rozumieniem rzeczy.

Pierwsz jego współpracownicy i zarazem współzałożyciele szkoły, jak Janina Gastmanowa, Zygmunt Hajkowski, Wacław Kralkowski, Henryk Wyszniński i Ryszard Radwański, to znani już i ofiarni nauczyciele z tajnych kursów Polskiej Macierzy Szkolnej oraz działacze oświatowi w środowiskach robotniczych i wiejskich sprzed pierwszej wojny światowej. Był to najbardziej wartościowy, rzekłbym, altruistyczny element nauczycielski, rodem jakby z „Ślaczki“ Żeromskiego, który stał się ideowym założeniem zespołu nauczycielskiego szkoły. Zespół ten już po przemianowaniu Progimnazjum w Gimnazjum wzmocnił kilka nowych sił o wysokich kwalifikacjach specjalistycznych i pedagogicznych, jak polonistka Wanda Kosińska, romanistka Helena Peyserowa, matematyk Jan Radwański, przyrodnik Stanisław Kulejowski i historyk Zygmunt Lorentz. W tych pełnych zapału i oddania ludziach znalazł Leon Starkiewicz nie tylko entuzjastycznych wykonawców swych pionierskich założeń nauczycielskich, ale także twórczych kontynuatorów i poszerzycieli swej pierwotnej koncepcji szkoły jako zakładu przede wszystkim wycho-

wawczego. Miała służyć wychowaniu spośród młodzieży warstw robotniczych nowego obywatela, przygotowanego zarówno moralnie, jak i zawodowo do nowych zadań, w nowych warunkach odzyskanej niepodległości narodowej i państwowej.

W tym celu obok kształcenia rozwinięto w szkole samokształcenie, a obok wychowania samowychowanie. Inicjatorem i szczególnym

gala właśnie dom ucznia w zakresie swoich wysiłków pedagogicznych, czyniła z domu ucznia sprzymierzeńca swej metody wychowawczej. Niejednokrotnie szkoła zastępowała uczniowi dom rodzinny, zwłaszcza, gdy tego domu — jak na przykład w moim przypadku — nie miało.

W tym celu z inicjatywy Leona Starkiewicza powstało przy szkole Koło Rodzicielskie o funkcjach doradztwa opiekuńczego nad uczniami osieroconymi lub pozbawionymi pomocy z domu, co było dość zrozumiałe na tle ówczesnego bezrobocia i z uwagi, że znakomita większość uczniów rekrutowała się z najuboższych warstw świata pracy. Duchem ówczesnego Koła Rodzicielskiego była żeńska polowa ciała nauczycielskiego z Janiną Gastmanową na czele. Wielu jej uczniów żywi dotąd dla niej synowskie wprost uczucia. Zakres opiekuńczej działalności tego Koła obejmował bursę szkolną, umożliwiającą ukończenie szkoły przez uczniów, którzy utracili dom rodzicielski, pomoc materialną dla uczniów najuboższych, organizowanie letnisk wakacyjnych, finansowanie wycieczek oraz imprez szkolnych. Koło Rodzicielskie opiekowało się w zakresie materialnym także Kołem Naukowym i drużyną harcerską na terenie szkoły, szczególnie zasłużoną w budzeniu wśród swoich członków ducha męskiej obywatelskości i właściwie rozumianego patriotyzmu.

Oto typ szkoły, którą stworzył Leon Starkiewicz. Typ obejmujący wszystkie elementy (szkolne i pozaszkolne) oddziałujące wychowawczo na ucznia, kształtujące jego charakter, umysł i serce, przygotowujące go intelektualnie i moralnie do roli świadomie społecznego obywatela społeczeństwa demokratycznego.

Ze szkoła tego typu zdała w pełni swój egzamin życiowy świadczy właśnie ostatni zjazd jej wychowanków, który zmienił się w wielkie święto ich wdzięczności dla swych nauczycieli, twórców tej szkoły, której symbolem jest jej założyciel, Leon Starkiewicz. Cichy i skromny, zmarły we wrześniu 1953 r. ten niezwykły działacz oświatowy i wychowawca, święci pośmiertny swój triumf, stając się wzorem i przykładem dla przyszłych pokoleń nauczycieli. Miłość, którą za jego pośrednictwem posłali nauczyciele w sercach swoich uczniów, wiedza, którą za jego pośrednictwem posłali w ich umysłach, promieniują z nich teraz na zewnątrz, stając się aureolą jego pośmiertnej chwały. Święto wdzięczności to jedno z najpiękniejszych świat ludzkich, to święto triumfującego humanizmu, który jako wartość bezwzględna łączy następujące po sobie pokolenia.

EWA SULIBORSKA

LADACZNICA MA ZASADY

Sztuka Sartre'a*) ma dwa zakończenia. W wersji pierwszej Fred wraca do Lizzie po linzu, zastaje u niej Murzynę, do którego strzela (niecelnie zresztą) i wygłasza monolog: — „Umieszcie się na wzgórzu po tamtej stronie rzeki, w pięknym domu z ogrodem. Będziecie spacerować po ogrodzie, ale zabronię ci wychodzić... Będziecie miały czarnych służących i więcej pieniędzy, niż mogłaś kiedykolwiek zarządzić“.

Wersja druga, przesłana w 1954 roku Siergiejowi Jutkiewiczowi, autorowi rosyjskiej adaptacji „Ladacznic z zasadami“ kończy się tak:

(„Z rewolwerem w ręku idzie (Lizzie) do drzwi. Murzyn za nią). Pierwszemu, który podejdzie, wsadzę kulę w brzuch. On jest niewinny. On nic nie zrobił. Słyszycie!... Słyszycie, on jest niewinny! (Jęł biała ręka mocno obejmując jego czarną rękę. Oświeła ich od blasku płomieni).



Czy KSIĘGARZ jest WYCHOWAWCĄ?

Z książki płynie odwaga
Książka w życiu pomaga
Chcemy książek jak słońca...

Tak mówił o książce Gałczyński, a co na to jej detaliczni dystrybutorzy czyli księgarze? Jeden z nich powiedział mi: — Kto raz zaraża się bakcylem książki, ten zawsze już szerzyć będzie tę zarazę. Jest w tym sformułowaniu chyba wiele słuszności i to zarówno w odniesieniu do odbiorców literatury, jak i tych, którzy książki wśród nas rozprowadzają, czyli księgarzy.

Zastanawiająca zaiste jest rzadkość zjawiska przechodzenia do innych, lepiej płatnych zawodów, mała stosunkowo — w porównaniu z innymi — płynność kadr (zastępowanie się, że biorę pod uwagę głównie pokolenie średnie i starsze). Księgarze wierni na ogół swej profesji, nie przepracowują w niej całe życie, zarówno w lata tłuste jak i chude.

— Tuż po wojnie pensja nasza równała się opłacie za umycie i ogolenie u fryzjera — wspomina pan Gierańczyk znany bywalcom księgarni „Pegaz”. Trudno w tej sytuacji nie mówić o dużym przywiązaniu do tego zawodu.

Ale nie na próżno stary mądry France wkłada w usta jednego ze swych bohaterów słowa: „Nie wystawiam sobie piękniejszego zajęcia na świecie jak sprzedawanie książek”. Frajdą to bowiem podwójną: obcowanie pośrednio wprawdzie, bo poprzez zadrukowane kartki, ale za to z najczystszyimi umysłami, najwspanialszymi talentami, najcieńszymi dźwiękami świata. A jednocześnie kontakt na co dzień z człowiekiem. Człowiekiem różnym wiekiem, zainteresowaniami, wykształceniem: od ucznia pytającego o „Baladyne” po profesora Uniwersytetu; od szewca z małej uliczki po dyrektora fabryki; od studenta po urzędnika.

CZY KSIĘGARZ JEST WYCHOWAWCĄ?

Na pewno ma księgarz do spełnienia niemalą rolę wychowawczą i to nie tylko w stosunku do młodych klientów, nie tylko także w wypadku, gdy czytelnik prosi o radę w wyborze książki i kiedy to obowiązkiem księgarza jest podsunąć literaturę najlepszej jakości. To są rzeczy z kategorii obowiązków. Ale dobry księgarz ma także ambicję wykraczającą poza nie. Chce oddziaływać na klienta, wpływać na jego gusty czytelnicze, nawet gdy ten nie prosi go o to.

— Ma pan coś z kryminałów?
— Niestety, chwilowo nie,

Ale może skusi się pan na coś z innej branży?

Skrzywienie: ja czytam tylko kryminały. Panie, czło- wiek się wyskaczę przy maszynie, skonany do domu przyjdzie, gdzie mu tam te Balzaki czy inne w głowie.

Księgarz nie daje za wygraną: — Kiedy ja wcale nie namawiam pana na Balzaka, mam tu coś, zobaczy pan, że nie zgasi pan światła nim pan ostatniej kartki nie doczyta. Facet odchodzi z Grahame Greenem. Zawsze to już trochę lepiej. Kto wie, może za kilka miesięcy da się namówić na Dosłojewskiego.

Zabiega księgarz o rozszerzenie zainteresowań, na siłę czasem wcisnąć się stara do zaśmieconego umysłu kawalek dobrej literatury. Dostаточно wyglądającemu panu, który czyta jedynie przekłady (zawsze co zagranica, to zagranica) usiłuje podsunąć coś z twórczości rodzimej. Pani, która lubi tylko to, co się lekko czyta, doradza „Listy do pani Z.” w nadziei zarażenia kobiecy choć odrobina ducha refleksji. Ale wszystkie te dydaktyczne czynności musi wykonywać nader dyskretnie. Klient nie lubi czuć, że się wie więcej od niego. Należy go pozostawić w nie zawsze słusznym mniemaniu, że jest odwrotnie.

Musi być więc księgarz po trochu psychologiem. Wyczuć, kiedy czytelnikowi potrzebna jest pomoc, rada, o którą nie zawsze śmie, czy umie prosić, a jednocześnie zorientować się, kiedy ma do czynienia z czytelnikiem wyrobionym, który mógłby się zachęcić na próby doradzania mu wyboru lektury.

SATYSFAKCJE, ANEGDOTY I SMUTKI KSIĘGARSKIE

— Największą satysfakcją są dla nas klienci, którzy przychodzą do księgarni w uczniowskich czapkach, a teraz już są ludźmi dorosłymi, na stanowiskach, nie- rzadko autorami książek, które sprzedajemy. Patrzy czo- wiek na takiego faceta i w



Fot. W. Biliński

duchu mówi sobie, że to trochę i jego zasługa, że w jakiejś części przysłużył się, sprawił, że ten ktoś doszedł do czegoś doszedł.

Tak, każdy z takich klientów czytelników jest osobliwym sukcesem księgarza. Pamięć na niego z cichą dumą ojca, czy nauczyciela obserwującego dobre postępy ucznia.

A taką małą, codzienną satysfakcją jest każda od- dana klientowi książka. Cza- sem zdarzają się przy tym zabawne historie.

Przed wojną do księgarni, w której pierwsze swe kroki w charakterze księgarza „frontowego” stawiał obecny kierownik księgarni popularnie zwanej „pod zegarem” przyszedł kiedyś jego- mość, dopytujący się o książ- ki dla dzieci. Pan Kacprzyk podał mu kilka, wśród nich „Lokomotywy” Tuwima, polecając jego uwadze zwłaszcza tę ostatnią. Klient zacie- kawiony pyta, dlaczego akurat to, pan Kacprzyk dłu- go tłumaczy, zachwala nie- pośrednio walory książki.

— Robi pan to bardzo prze- konywająco — powiada na to klient — będzie z pana dobry księgarz. Dziękuję za uznanie, jestem Julian Tu- wim.

Oczywiście istnieją i mniej pozytywne strony tego za- wodu. Księgarze narzekają. Pretensje są chyba uzasad- nione, zważywszy wymaga- nia, jakim musi księgarz sprostać — czytanie, orien- tacja w wychodzących bie-

żąc rzeczach, obowiązek czy- tania pism zawodowych, więc paca nad sobą, prze- ciągająca się długo poza go- dziny pracy w księgarni.

— Straciłbym niedawno kilku młodych, zdolnych pra- cowników, którzy odeszli do innych resortów, mogących im zapewnić lepszą sytuację materialną — mówi kierow- nik księgarni łódzkiej

CO Z MŁODYMI KADRAMI?

Jest to jedno z najważ- niejszych zagadnień współ- czasnego księgarstwa. Daw- niej sprawy kształcenia mło- dego narybku wyglądały zup- ełnie inaczej. Kandydat do za- wodu księgarskiego siedział na praktyce, do którejś z dużych firm, gdzie najpierw jako chłopiec, potem jako praktykant przez okres trzech-czterech lat znajdo- wał się na tyłach księgarni, zajmując się bądź czynno-ściami zgoła niezawodowymi, bądź też okurzał i porząd- kował książki. Nowiejusza robiono przy tym często „w konia”. Pan Pakosiak — nes- tor łódzkiego księgarstwa — kierownik antykwiariatu, wspomina, jak to w okre- sie jego praktyki u Gebeth- nera świeżo upieczeni księ- garze kazali mu się uczyć na pamięć kilkusetstronic- wego katalogu, co uprawiało z wysiłkiem przez kilka miesięcy.

Dopiero po odbyciu tego

terminu „wyzwalał się” na pracownika „frontowego”.

Dziś miast do „terminu” młody chłopak czy dziewczyna idzie do Technikum Księ- garskiego, po której ukoń- czeniu uważa się za skończo- nego księgarza. I czuje się pokrzywdzonym, gdy kie- rownik księgarni skazuje go do jakichś prac pomocni- czych.

Absolwent Technikum Księgarskiego przynosi do pracy jakiś tam kapitał te- oretycznych wiadomości, po- zostając za to mocno na- bakier z praktyką. Na prak- tykę kładzie się w szkole niewielki nacisk, czego re- zultatem jest fakt, że po przystąpieniu do pracy mło- dy człowiek jest często zup- ełnie bezradny, niezorien- towany, nierzadko klient wskazywać mu musi półkę, na której znajduje się książ- ka, o którą mu chodzi. Coś więc tu mocno szwankuje. Jeszcze jeden przykład ge- neralnej usterki naszego na- uczania — nieumiejętność użytkowania tego, co przez pięć lat pracowicie pchało się do mózgu.

WSZYSTKO NA RATY

Naprawdę robi się dziś wszystko, by umożliwić lu- dziom kupowanie książek. Niemal każdy większy ur- ząd, każdy zakład pracy ma swego kolportera, roz- powszechniającego książki wśród pracowników. Mało tego, stworzono jeszcze bar- dziej dogodne formy — sprze-

żąc ratując. W tych wa- runkach już naprawdę każdy może pozwolić sobie na własną biblioteczkę.

Jeździ po naszym woje- wództwie wagon PKP wyla- dowany książkami. Podjeżd- ża do zakładów pracy, po- siadających własne bocznice. Megafon zwołuje ludzi, księgarz rozkłada swój kram. Książka wychodzi człowiekowi naprzeciw. Już nawet nie trzeba iść po nią do księgarni.

A kiermasze, a stoiska u- liczne? Urozmaica się także formy sprzedaży już wew- nątrz samej księgarni. Pa- miętam wszystkie ekspe- rymenty sprzed kilku lat kie- dy to urządzono księgarnię samoobsługową. Niestety, manko w dwóch kolejnych remanentach sięgające kil- kudziesiąt tysięcy złotych, zmusiło dyrekcję do powró- cenia do klasycznych form sprzedaży. Ale do ekspe- rymentu wrócimy pewnie znów niebawem, właśnie bowiem uchwała Ministra zaakceptowała bezładową formę sprzedaży. W Łodzi na razie pełnej bezładowej księgarni nie będzie, ze względu na brak odpowied- niego pomieszczenia (a mo- że by tak odpowiednie czyn- niki zdecydowały się wresz- cie na przeniesienie maga- zynu meblowego z Piotrkow- skiej 14, co powiększyłoby znacznie lokal księgarni mieszczący się obok?). Będą natomiast tak zwane pół- ladowe (Pegaz, Księgarnia Łódzka). Dawniej jedynym miejscem ekspozycji książek była witryna księgarska. Dziś są gabloty, lada. Książ- ka sama pcha się w ręce czytelnika.

Jest księgarnia z natury rzeczy jakimś ośrodkiem kul- tury, postępu. O tym ostat- nim dowodnie świadczy po- stawa księgarzy w czasie ostat- niej wojny i okupacji. Zawdzięczamy im uratowa- nie dziesiątek tysięcy książ- ek polskich skazanych na spalenie. Przechowywali je po domach, w piwnicach, lo- downiach; rozprawiali w dziesiątkach tysięcy egzem- plarzy na komplety tajnego nauczania. Pod nalepkami firm niemieckich wysłali polskie książki do Generalnej Guberni. O tym, co ich mo- gło za to spotkać nie trzeba nikogo zapewniać. W zamienionej na sklep rybny księgarni — dzisiejszy „Pe- gaz” — wypuściwszy wodę z akwariów, przechowywali książki. Podtrzymywali też księgarze egzystencję pisa- rzy. Otworzyli dla nich kasy. Wielu pisarzy korzystało z ich pomocy m. in. Ossędow- ski, Makuszyński, Rodzie- wiczówna.

Dziś organizują spotkania z pisarzami, aktorami. Sze- cólnie w tym zakresie czyn- ny jest p. Gierańczyk, głów- ny motor rzeczonych spot- kań. Jak mówi — chce wy- korzystać żyjących jeszcze ciekawych ludzi związanych z historią Łodzi — wycią- gnąć od nich wspomnienia, dotyczące naszego miasta. A potem napisać dzieje kul- turalne Łodzi. I nie w tym dniu: ktoż bowiem, jak nie księgarze są do tego u- poważnieni?

Konrad Laszewski insce- nizując „Ladacznice z za- sadami” wybrał wersję pierw- szą. Mimo że wersja, którą zaproponował Sartre scenie rosyjskiej jest konse- kwentniejsza. Konsekwent- niejsza, bo moralne rozter- ki bohaterki są ostatecznie rozwiązane. Lizzie staje po stronie Murzyna przeciwko białym zgodnie ze swym po- czuciem prawdy i dobra. Zgodnie z poczuciem praw- dy i dobra także Sartre’a. Ta wersja „Ladacznicy z za- sadami” nie dopuszcza do po- myłek. Jej jednoznaczność nie dopuszcza wahań. Dziel- czyni a Murzyn pozostają do końca pozytywnymi boha- terami, przełamują strach, uprzedzenia. Zwyciężają. Epi- zod z podpisaniem niepraw- dziwego zeznania jest jesz- cze jednym dowodem prze- ciw białym, przeciw ustro- fowi, który reprezentują. Fred jeszcze raz w wersji tej obnaża swoją duszę świ- ni, duszę człowieka bez za-

sad. A ladacznica zachowu- je w niej do końca swo- je „zasady”.

Wersja sztuki, którą wy- brał reżyser jest także jed- noznaczna. Ale jednozna- czna inaczej. Ladacznica po- zostaje w niej szlachetna, pozostaje jedyną pozytywną postacią ze „świata białych”, ale panujące stosunki, samo życie, zmuszają ją do us- tępstw.

Konrad Laszewski, wybie- rając tę wersję, spróbował u- czynić sztukę mniej jedno- znaczną. Wybrał wersję zgodniejszą z prawami ży- cia i nakazał bohaterom „niedopowiedzenia”, punktu- jąc sceny, w których Lizzie dokonuje wyboru.

„No nareszcie, wszystko jest w porządku. Mam na imię Fred”, kwestia, którą kończy się spektakl w Teat- rze Nowym, przesuwają chyb- wymową sztuki. Każę trak- tować nieco ironicznie za- hania ladacznicy szukającej

prawdy. Przydając wulgarni- ności wypadkom, broni po- staci bohaterki przed jedno- wymiarowością. Lizzie nie jest w teatralnej realizacji sztuki sztandarem. Być mo- że, jej zasady nie są nie- wzruszone. Być może, ludzie są bardziej skomplikowani niż to usiłuje nam zasę- rować autor. A granica mię- dzy dobrem i złem płynniej- sza. Być może, kompromisy okazały się niezbędne i Lizzie awansuje z ladacznicy na nałożnicę Freda z domem i murzyńską służbą.

Hanna Bedryńska zagrała Lizzie, nie umiejącą opowie- dzieć się do końca, nie u- miejącą dokonać wyboru. Była piękna w negliżu i piękna w sukni z białym kołnierzykiem. Ale nie była wulgarna tak jak żądał te- go Sartre. Nie była też tak prymitywna. Grała Lizzie kobietą i zmysłową, w miarę dobrą i w miarę okrut- ną. Przestraszona i nie bar- dzo umiejącą znaleźć się

w sytuacji obrońcy Murzy- na. Wiedząc o życiu wię- czej niż to pozwolił jej po- wiedzieć Sartre. Janusz Ku- bicki grał Freda prymityw- nego i okrutnego, obdarzo- nego seksualnymi komplek- sami. Jednocześnie chłopca i mordercę. Grał zgodnie z tym, czego żądał od niego autor. Ale i zgodnie z in- tencjami reżysera.

Sztukę obroniono erotyz- mem. Aktorów upoważnia- do tego zresztą sam Sartre. Kubicki prezentuje komplek- sy i pożądanie, Bedryńska sex i świadomość kusieli- ki. Nawet Nowicki w roli Senatora opętany jest przez pożądanie. Laszewski, tra- fnie oceniając wartości in- telektualne sztuki, pokazał spektakl wyróżniający się świetnym zmięśleniem aktor- skim i zgrabną reżyserią. Ani reżyserowi, ani aktorom nie udało się jednak obronić „Ladacznicy z zasadami”. Protest Sartre’a przeciw ra- dzizmowi, mimo szlachetno-

ci samego zamierzenia, nie jest artystycznie udany, wy- raźnie nosi piętno „zamó- wienia społecznego”, a nie- znajomość stosunków i o- byczajów panujących w po- ludniowych Stanach jest tu niekiedy wręcz żenująca. Wszystkie te niedostatki wi- doczne są szczególnie teraz, gdy sam problem — wciąż przecież żywy — jest nam znany ze świetnych arty- stycznie realizacji Faulknera czy Caldwell’a.

„Ladacznica z zasadami” była ostatnią sztuką reżyse- rowaną przez Konrada La- szewskiego. Aktor i reżyser miał w swym artystycznym dorobku kilkanaście świet- nych ról i spektakli teatral- nych, które w ostatnim 10- leciu świadczyły dobrze o łódzkich teatrach. Laszewski twierdził zawsze, że gra i pracuje dla szarego widza. Lubiał teatr kameralny, teatr który bywał ciekawością dowcipu i wdziękiem. Lubiał pracować nad sztukami, w

których sprawność rzemiosła idąca nawet w parze z nie- ważnością treści daje akto- rowi i reżyserowi możliwość zademonstrowania fachu. Wspomnijmy grana przed- paroma laty „Szklankę wo- dy”, wspomnijmy odczyta- ną na nowo „Zabusie”.

Sprawność rzemiosła, u- miejętność odnalezienia for- my i barwy spektaklu — oto sprawy, które dla La- szewskiego były najważniej- sze. Przedstawienia przez nie go reżyserowane można by- ło zawsze rozpoznać, miały bowiem lekkość i dowcip- rzadko spotykany w teatrze.

EWA SULIBORSKA

*) Państwowy Teatr Nowy. Mała Scena. Jean-Paul Sar- tre: „Ladacznica z zasada- mi”. Reżyseria: Konrad La- szewski.

odpłosz

str.

7

THE PRINCE AND THE PAUPER after Mark Twain

It happened in the sixteenth century, on a cold autumn day.
In the old city of London a boy was born to a poor family of the name of Canty. The family did not want this boy.

On the same day another English child was born. He was born to a rich family of the name of Tudor. The family wanted this boy very much.

The first boy was called Tom Canty, the second one Edward Tudor, Prince of Wales.

* * *



NUR DIE HÄLFTE

Herr Krause besucht wieder seinen Freund und sagt:
— Mein Lieber, ich bin schon gesund. Ich danke Dir für Deine Hilfe. Aber jetzt musst du mir auch helfen. Jetzt brauche ich zehntausend Mark.
— Zehntausend Mark?
— Ja, genau zehntausend.
— Wozu brauchst du soviel Geld?
— Meine Tochter will heiraten.
— Ich wünsche ihr viel Glück. Aber wozu brauchst du soviel Geld?
— Ich habe meinen zukünftigen Schwigersohn zwanzigtausend Mark versprochen. Deswegen brauche ich jetzt zehntausend Mark.
— Dann gibst du ihm nur die Hälfte.
— Nun, eben die Hälfte fehlt mir...



THE WATCH

— What time is it by your watch, Tom? — asked George.

— Well, it's five minutes past five — said Tom.

— Five past five?

— Yes. What surprises you?

— Well, by my watch it is five to five. Either your watch is fast or mine is slow.

— Yours is slow, of course. Didn't you hear the tower clock strike five a few minutes ago?

— Yes, I did. I just wonder what could have happened to my watch. It was such a good time-keeper. I think that my favourite watch will never keep good time any more.
— Nonsense. Let's drop in at a watchmaker's. Well, here we are.

— Good afternoon, sir — said George.

— Good afternoon, gentlemen, — said the watchmaker. — What can I do for you?

— There's something wrong with my watch, — said George.

— Let me see it, please.

— Here it is, please.

— Nothing much the matter with it. Needs cleaning, that's all. Will you leave it?

— I think I will.

— Your name, please.

— Smith, George Smith.

— Here is the receipt, sir.

— Thank you. Good-bye.

— Good-bye, gentlemen.

Ich denke sehr viel und sehr oft an Dich und an das schöne Fräulein. Ich fühle, dass die brüderliche Freundschaft stärker ist als meine Liebe zu diesem Mädchen. Ich muss weinen, aber... Dein ist das Fräulein. Sie wird mit Dir glücklich leben als mit mir. Liebe sie immer so, wie Du sie heute liebst. Schreibe mir, wie glücklich Du bist. Ich hoffe, dass mich Gott in der fremden Welt nicht vergessen wird. Dein treuer Bruder".

Der ältere Bruder heiratete das schöne Fräulein. Ein Jahr dauerte die glückliche Ehe. Dann starb die Frau. Sterbend sagte sie:

— Ich habe den jüngeren Bruder stärker geliebt.

DER BRAVE STORCH

Mutti erwartet ein neues Kind. Ihre vierzehnjährige Tochter muss deshalb aufs Land zu ihrer Tante fahren. Der siebenjährige Max darf zu Hause bleiben.

Endlich kommt ein kleines Brüderchen an. Der Papa ruft seinen siebenjährigen Sohn und schickt ihn mit einem Telegramm zur Post. In dem Telegramm beschreibt der Papa ausführlich die Tätigkeit des braven Storchs.

Max kommt zurück und legt eine Mark auf den Tisch. Er sagt dabei:

— Das habe ich gespart. Das Telegramm war mir zu lang. Ich habe ganz kurz geschrieben: "WETTE GEWONNEN" — JUNGE GEKOMMEN".

EWA DĄBROWSKA



...A więc tak, myślę, że chyba mogę to opowiedzieć. Było to przecież dawno, nie ma już tego domu na krańcach miasta i nie ma Maurycego.

Jeśli mówię, że nie ma Maurycego, to mam na myśli nie tylko to, że wyjechał z naszego miasta i większość dawnych znajomych zapomniała już o nim. Bowiem ten, którego znali i zapamiętali, nie był prawdziwym Maurycem, choć no sił to samo imię; był zupełnie kim innym, kto zjawiał się tak zagadkowo w stosownej chwili i kogo ja sama z biegiem czasu przywykłam utożsamiać z prawdziwym Maurycem, wcześniej.

Mówi się o arcydziełach malarstwa: „wczesny Renoir“, „wczesny Van Gogh“. Wczesny Maurycy nie przypominał w niczym pewnego siebie eleganta, który znał wszystkich i którego wszyscy znali. Wczesny Maurycy nosił szerokie majtasy i krąwał na gumce, golił się dwa razy na tydzień, a moje uwagi zbywał kpinami, gdyż uważał, że troska o powierzchowność jest rzeczą nie-

godną mężczyzny. Później zmienił zdanie i nie mam powodu, aby twierdzić z całą pewnością, że zrezygnował także z golenia się brzytwą, co kiedyś uważał za jeszcze jeden atrybut męskości. Ale na razie było do tego daleko.

W tym okresie spotykaliśmy się z Maurycem bardzo często, niemal codziennie, umawiając się skrupulatnie na każde następne spotkanie. Maurycy, który niedawno przybył z prowincji do naszego miasta, czuł się nie pewnie na nowym terenie i nie ukrywał tego przede mną. Słuchałam cierpliwie jego zwierzeń i pomagałam mu snuć plany — było to niezwykle i podniecające. Czasem przestawał mówić, o pierał się łokciami o marmurowy blat i patrząc na mnie przenikliwie nucił coś półgłosem, była to chyba aria z „Polawiaczy pereł“ czy coś w tym rodzaju. Zamawialiśmy jeszcze jedną kawę i gadaliśmy dalej, dopóki nie zrobiło się całkiem późno.

Prowadziłam wtedy nudną egzystencję, wypełnioną szeregiem drobnych, uciążliwych zajęć, które po-

chłaniały mnie całkowicie. Nie wiem, jak się to stało, że z chwilą pojawienia się Maurycego nagle zaczęłam mieć mnóstwo czasu na spotkania i długie rozmowy, na zabiegi wokół poprawy jego losu — słowem na to wszystko, co wydawało mi się wówczas odprężeniem, a co zapewne można było cynicznie nazwać wzięciem sobie na kark jeszcze jednej troski. Byli zresztą tacy, którzy próbowali mi to mówić, lecz to tylko podsycalo moją przekorę.

Może przekora właśnie sprawiła, że pewnego dnia przedstawiłam Maurycego Franciszkowi F., znanemu dandysowi, będącemu wówczas cenionym pracownikiem jednej z placówek kulturalnych naszego miasta. Franciszek F., który z biegiem czasu stał się jeszcze bardziej znany i ceniony i przestał mi się kłaniać, miał już wtedy dość rozgąlczone stosunki, aby móc przyjść z pomocą Maurycemu, wegetującemu na nędznej posadzie w jakimś ponurym urządzie. Zrobił to chętnie, gdyż Maurycy ujął go sobie od razu uległością i skromnością i w parę tygodni póź-

niej z satysfakcją zawiadomiałam sceptyków o korzystnej odmianie w życiu Maurycego, na którym dotychczas widocznie się nie poznano.

Nowa posada była rzeczywiście lepsza od poprzedniej. Do dziś nie umiem powtórzyć skomplikowanej nazwy tej placówki, wiem jednak, że celem jej było krzewienie kultury na prawo i lewo, a Maurycy, choć i tu siedział w sekretariacie, czerpał z tej pracy sporo satysfakcji, choćby przez to, że stykał się z interesującymi ludźmi i zagadnieniami.

Była jesień. W dalszym ciągu spotykaliśmy się codziennie z Maurycem, lecz teraz coraz częściej przylączał się do nas Franciszek i podczas gdy tamci dwaj rozmawiali, siedziałam leniwa i uśmiechnięta, myśląc, że miło jest tak siedzieć w troje i że takich dni będzie wiele.

To o czym chcę mówić, zaczęło się wkrótce po zaistnieniu się Maurycego na nowym mieszkaniu, które zdobył (też za sprawą Franciszka), w malej, pretensojnalnej kamieniczce, jednej z tych, jakich coraz mniej widuje się w naszym mieście. Ta dziwnym trafem nie została jeszcze rozebrana, choć tuż obok niej rozpoczęto właśnie budowę nowoczesnego osiedla.

Przypominam sobie doskonale moje osamotnienie w dniach przeprowadzki i zaraz potem zjawia się przed moimi oczami posępny Maurycy, odpowiadający półgębkiem na moje pytania. Tego dnia po raz pierwszy nie odprowadził mnie do tramwaju, gdyż spieszył się na jakieś ważne spotkanie. Nazajutrz nie przyszedł do kawiarni, a na wymówki,

którymi zasypałam go przez telefon, odpowiadał krótko: „Nie mogłem“. Teraz pozostawało mi tylko odłożyć słuchawkę i czekać aż sam zaproponuje spotkanie, a wtedy odpowiedzieć, że nie mam czasu i dać się długo prosić. Uprzymiarniałam to sobie, podczas gdy Maurycy z coraz większym zniecierpliwieniem tłumaczył mi, że naprawdę nie ma czasu i że dla moich kaprysów nie będzie zaniedbywał ważnych spraw.

Pamiętam również wypełniającą mnie po tej rozmowie uczucie ulgi, uczucie nędzne i obezwładniające, podsyte niepokojem o wynik tego — jakże mam to inaczej nazwać — wyżebranego spotkania. Zapewne na dzień tego niepokoju kryło się coś więcej, było tam ostrzeżenie, którego wtedy nie chciałam posłuchać, a może po prostu nie dotarło do mojej świadomości. To bezmiar mojej ulgi był pierwszym sygnałem, że na leży brać nogi za pas i uciekać, gdyż sprawy zaszyły za daleko.

Sala była prawie pusta. Rozejrzałam się. Z fotela pod oknem podnosił się na moje spotkanie Maurycy, blady i niechętny. Nie był sam. Towarzyszył mu Franciszek, który nie kwapił się do odejścia, przeciwnie, ledwie usiadłam, odwrócił się do Maurycego i obaj rozpoczęli ożywioną rozmowę, nie zwracając na mnie uwagi. Przeglądałam się Maurycemu, który mijał nad stolikiem swym masywnym korpusiem, perorując namiętnie na temat krzewienia czegoś tam wśród szerokiego mas. Franciszek, odpowiadał krótkimi, dowcipnymi zdaniami, odchylając się do tyłu i mrużąc oczy. Był to widocznie dalszy ciąg dysku-

sji, którą prowadzili przed moim przyjściem i którą im przerwałam. Cóż to chcieli krzyczeć wśród mas? Zamilowanie do muzyki koncertnej? Przesłyszałam się, nie, mówili o tym dalej, a właściwie Maurycy sam mówił, głośno i zapalczywie, że czas już skończyć ze smierą, z sentymentalną starzyzną i niechby ludzie nauczyli się cieszyć tym, co odkrywcze i nowe. Słuchałam w osłupieniu. Aria z „Polawiaczy pereł“ zadźwięczała mi w uszach. Skąd płynęło to nagłe zainteresowanie? Skąd zdobył tyle wiadomości? Coś zaczynało mi świtać. Nie dowierzając zagadnieniom ich o to, wtedy Franciszek zwrócił na mnie rozłagniętym spojrzeniem i przytaknął, że istotnie, Maurycemu znów los się uśmiechnął: po lecono mu — na razie na próbę — przygotować parę pogadanek na dowolny temat.

— Muzyka nowoczesna — powiedział Maurycy dobitnie, patrząc w próżnię nad moją głową.

Zawsze drażniło mnie to określenie, choć nie bardzo wiedziałam, czym powinno się je zastąpić. Może zresztą należało tak właśnie mówić? Powiedziałam, że się bardzo cieszę, ale zabrzmiało to fałszywie.

Wkrótce potem Franciszek spojrział na zegarek i oświadczył, że musi już iść. Maurycy poderwał się skwapliwie. Na niego również czekały pilne sprawy, spieszył się — jak mówił — do chaty. No tak, miał wreszcie tę „chatę“, tajemniczy, azył, do którego nie chciał mnie zaprosić, mó-

Dalszy ciąg na str. 10

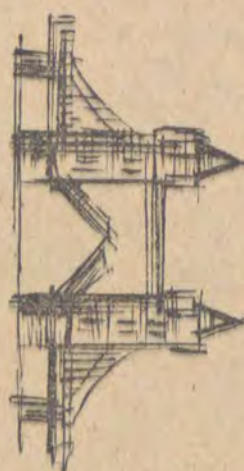
The street where Tom's family lived was not far from London Bridge and was called Offal Court. It was dirty, and the houses were of wood, with small windows. Tom's family lived in one of these houses.

Can'ty's family lived in one room. The mother and the father had a bed. But Tom, his grandmother, and his two sisters slept on the floor.

The sisters were fifteen years old. They were always dirty, but they were good-hearted girls. So was their mother. But the father and the grandmother were very bad people. They often got drunk and then they beat the children.

Tom's father, John Can'ty, was a thief. Tom's grandmother was a beggar.

Every day Tom went out to beg in the streets. If nobody gave him money, his father and grandmother beat him at night and sent him to bed hungry.



NOCH NICHT

— Aber bitte, kommen Sie herein, lieber Herr Schmidt, Ich treue mich, Sie zu sehen. Wie geht es Ihnen
— Ich danke Ihnen. Es geht alles ganz gut. Nur mein Bruder ist nicht ganz gesund.
— O, das bedauere ich sehr. Was fehlt ihm denn?
— Ich weiss nicht, wie ich es Ihnen sagen soll...
— Aber, bitte heraus damit.
— Nun, er ist etwas dumm geworden...
— O, das bedauere ich sehr. Es tut mir so leid. Aber das Geld hat er doch Ihnen mitgegeben, das er mir schuldig ist, nicht wahr?
— Nein, so dumm ist er noch nicht geworden.



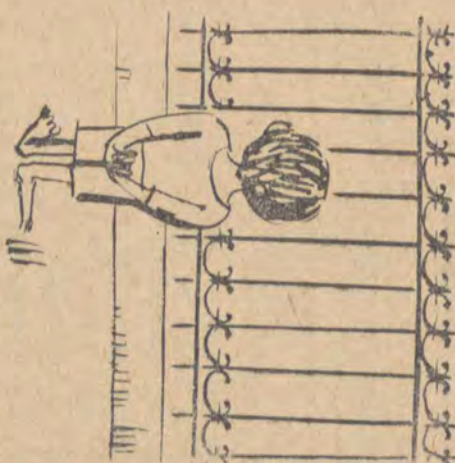
A few years passed.

Among the people that lived in the house there was a kind old man who taught Tom a little Latin and how to read and write. He also told him many stories about kings and princes. Tom liked to listen to his stories. He also read the books that the old man gave him.

At night when he lay on the floor, he forgot his hunger and his father's beating. He thought about kings and princes, who were clean and well dressed. Tom wanted to be clean and well dressed too. But in the morning he had to go out to beg...

Oh, how he wanted to see a real prince with his own eyes.

(to be continued)



EINE GROSSMÜTIGE HANDLUNG

(2)

Der ältere Bruder verliess schnell Deutschland und fuhr nach Holland. Aber das Bild des schönen Fräuleins stand ihm immer vor Augen. Die ganzen Tage und die ganzen Nächte dachte er nur an sie. Er machte lange Reisen, aber es half nichts. Er konnte das Mädchen nicht vergessen.

In Amsterdam wurde er krank. Er legte sich ins Bett. Er hatte hohes Fieber. Die Ärzte kamen. Einer von ihnen sagte:

— Sie sind sehr krank. Sie müssen nach Hause fahren. Hier werden Sie sterben. Sie dürfen hier nicht bleiben.

Der Kranke stand auf und am nächsten Tag fuhr er nach Deutschland zurück. Er ging zu seinem Bruder und sagte:

— Mein Lieber, ich konnte sie nicht vergessen. Ich kann ohne sie nicht leben. Sie muss meine Frau werden.

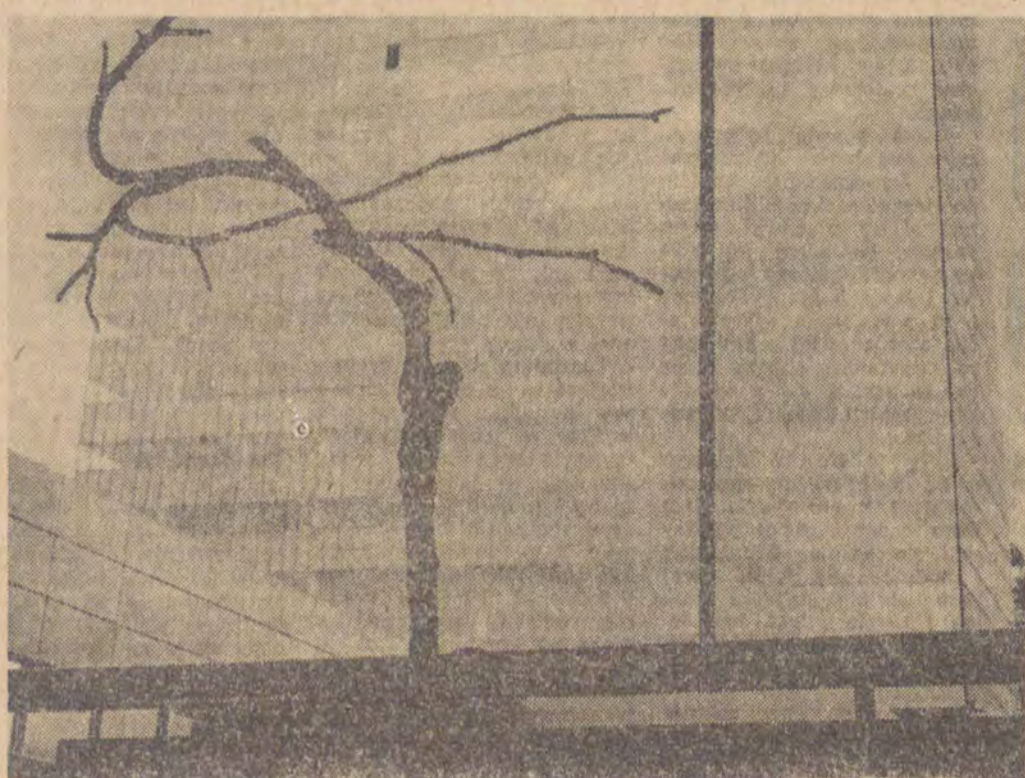
Der jüngere Bruder antwortete:

— Du bist nach Holland gefahren. Ich werde weiter fahren. Vielleicht werde ich sie vergessen können. Aber heirate sie nicht früher, bis ich dir einen Brief schreibe. Bin ich glücklich als du, so segne der Himmel eure Liebe. Hier ist ein Päckchen für dich. Ich fahre nach Batavia.

Mit diesen Worten sprang er in den Wagen.

Der Bruder öffnete das Päckchen. Er fand darin viel Geld und einen kurzen Brief. Er las den Brief: „Mein lieber Bruder! Das Geld ist für dich und für das schöne Fräulein. Ich wünsche viel Glück. Dein Bruder.“

Nach einigen Wochen bekam der Bruder einen Brief. Der jüngere Bruder schrieb: „Mein lieber Bruder! Ich kam glücklich in Batavia an.“



Dalszy ciąg ze str. 9

wil, że jeszcze się nie umeblował, zaraz zresztą skryć cał na inny temat i nie wypadało tak go przyciskać do muru.
Możliwe, że jeszcze nie stać go było na porządne meble. Na razie zajął się był swoją osobą. Kazał sobie zrobić jedno ze starzych ubrań, zwięzić spodnie i skasować wstawkę, wyglądał teraz bardziej współczesnie, nawet gdy włożył na to wszystko swój wyszarżany letni płaszcz, który też wkrótce miał pójść do lamusa.

Patrzyłam na ten płaszcz,

stojąc obok wieszaków, pod czas gdy tańczy dwaj sprzączali się przy bufecie, który z nich ma zapłacić za kawę. Maurycy krzychał głośno, zawadiackim tonem, jakiego nie słyszałam u niego przedtem. Ogarnęła mnie gwałtowna chęć dotknięcia tego płaszcza, który nie mógł krzyżować ani się wygłupiać, poezjiwy stary łachman. Dotknęłam go i nie wiem jak się to stało, że włożyłam rękę do kieszeni — Maurycy trzymał tam masę rupiec — i zaciśnęłam ją na jakimś drobniaku. Zapragnęłam mieć na własność ten drobiazg, który należał do Maurycego, wiedziałam, że nie był mu potrzebny; chyba do końca nie zauważył jego bra-

ku, tak jak i teraz nie nie zauważył — zrobiłam to błyskawicznie i gdy podszedł do mnie, stałam już u brana przy drzwiach.
— Idziemy — rzekł Franciszek, chowając drobne pieniądze do portmonetki. — A wy? — zapytał i na moment objął nas ramionami. — Idźciecie razem?
Maurycy odpowiedział, że musi pracować i we troje wyszliśmy na ulicę. Zegnając się po raz pierwszy spoj rzal mi w oczy:
— Zadzwoń do ciebie za parę dni — powiedział bez uśmiechu — Jak tylko odwalę tę cholerną robotę, — Pogadanki? — spytał.
— Między innymi. Patrzył przez chwilę pod

nogi z taką miną, jakby chciał jeszcze coś dodać, ale się widać rozmyślił, bo powiedział tylko „No to cześć“ i odeszli obaj.

Idąc samotnie do domu (pieszo, choć ze śródmieścia był to niezły kawał drogi), zaciskałam rękę na zgrabnym przedmiocie, który miał być tylko maskotką, a odegrał później kluczową rolę w całej tej dziwnej historii. Nie przyszło mi nawet do głowy, że nic nie zostało wyjaśnione i naprawione, przeciwnie, pogmatwało się jeszcze bardziej. Zastanawiałam się jedynie nad gestem Franciszka, którym objął nasze ramiona, nad jego przypuszczeniem, że odejdziemy razem, jak dawniej, gdy jeszcze Maurycy miał czas, aby odprowadzać mnie do tramwaju. Powtarzałam sobie, że skoro Franciszek nadal łączył nas w myśli, to moje sprawy nie stały tak złe i być może już najbliższe dni przyniosą jakieś rozstrzygnięcie. Lecz Maurycy nie dzwonił i powoli ogarniał mnie coraz większy niepokój, taki jak przed ostatnim spotkaniem, — co ja mówię, gorszy po stokrót. Próbowałam tłumaczyć sobie, że Maurycy przeżywa teraz trudne dni, widziałam go w wyobraźni, jak siedzi zapracowany w nowym mieszkaniu. Na pewien czas zajmowałam tym myślami, ale niepokój pozostawał.

W domu wszystko leciało mi z rąk, chodziłam od okna do okna, stałam z twarzą przyklejoną do szyby, patrząc w ciemny ogród. Telefon milczał. Ubrałam się i jechałam do miasta, przebiegałam zablocone ulice, chcąc uciec od siebie samej. Wyobrażałam sobie, że u kresu tych wędrowek cze-

ka na mnie Maurycy, wczesny Maurycy, prosty i łagodny.

Znacie taką zabawkę — tekturowe pudełko, które do wciśniętych przycisków daje wam do rąk, naciskacie jakąś nie winną sprężynkę i nagle wystrzela stamtąd różnobarwny diabełek, trafiając was prosto w nos. Nie ma co, właśnie taka rzecz mi się przytrafiła. Jak długo będą trwały te trudne dni? Maurycy był ambitny. Sprężyna wciąż jeszcze się rozkręcała.

Gdy po raz pierwszy powiedziano mi, że Maurycy łączył po knajpach i ma czas na wszystko prócz tego, że by do mnie zadzwonić, płakałam całą noc i wyobrażałam sobie, że tego nie przeżyję. Potem przypomniałam sobie to, co mówił o jakichś ważnych spotkaniach — mo że musiał coś załatwiać przy wodce? A w końcu już nad ranem, zrozumiałam, że właściwie jest mi wszystko jedno, po co Maurycy wódcę czy się po knajpach i jeżeli nawet wyszedł ze mną po świątku, to nie mam do niego pretensji. Chodził tylko o to, aby się z nim widywać od czasu do czasu, spotyka się przecież z tyloma osobami, co dla niego znaczy jedna więcej? Powiem mu to, jak tylko go spotkam, muszę mu to powiedzieć, niech wie.

Oczywiście, gdy go w końcu spotkałam w kawiarni, wszystko było zupełnie inaczej, niż miało być. Maurycy akurat wstał od stołu i szedł w kierunku drzwi, pod ramię z jakimś mięczakowatym facetem, którego tytułował panem re daktorem. Przeraziłam się, że wychodzą i tak w istocie miał zamiar, ale stanęłam w przejściu i nie mogli mnie wyminąć, więc Maury-

cy powiedział dzień dobry i podaliśmy sobie ręce i już się odwracał do wyjścia, wtedy go złapałam za rękaw i powiedziałam, żeby na chwilę został; pewno by nie usłuchał, ale tamten ułęk czuł pismo nosem i przedko się ulotnił, a my zawróciliśmy na salę i usie dliśmy przy stoliku.

Maurycy nie patrzył na mnie, milczał i po chwili przytupywał nogą. Spuściłam oczy i zobaczyłam żółty półbut, nowy i z pewnością za ciasny. Chciałam coś powiedzieć, ale miałam pustkę w głowie, nawet mi przez myśl nie przeszło, że mogłabym teraz wygłosić to wszystko, co sobie niedawno ułożyłam. Po długiej chwili Maurycy zlitował się i zapytał, czy słyszałam ostatnią audycję redaktora N.

— To ten, z którym byleś? — Treść pytania nie dotarła do mnie. Maurycy skinął głową.

— Diabło zdolny facet. Chce, żebyśmy z nimi współpracowali.

— Co będziesz robił?

— Och! — powiedział. — To się zobaczy. Na razie mam mu podrzucić reportaże o naszej pracy w terenie. Wiesz, takie rzeczy się podobają.

Podziwiałam go. Dawał sobie radę ze wszystkim do czego się zabrał, z urzędniczymi przeistoczył się w prelegenta, a niebawem miał się wkręcić do radia. Zdumiewało mnie, że mając stosunkowo mały zasób wiadomości daje sobie radę z wymyślaniem tych pogadek, musiało to być dla niego bardzo trudne. Powiedziałam mu to.

MĘCZENSTWO PIOTRA OHEYA

W łazience Piotra Oheya zagnieździł się tygrys-ludojad. Nic by to nikomu nie przeszkadzało, gdyby nie fakt, że natychmiast dowiedzieli się o tym inni. W zwyczajne, monotonne życie rodziny Oheyów wtargnęli urzędnicy, naukowcy, politycy, artyści... Tygrys stał się własnością państwową. Piotr Ohey musiał zginąć dla dobra sprawy. Zginął we własnej łazience, zastrzelony przez rozkapryszonego maharadżę, polującego na jego tygrysa...

„Piekło, to są inni” — powiada bohater „Przy drzwiach zamkniętych” J.P. Sartre'a. Piotr Ohey nie ma dziś prawa do własnego, prywatnego tygrysa. — Oto tragedia blażeńska.

„Świat tragiczny i groteskowy jest zamknięty i nie ma z niego ucieczki — pisze Jan Kott w eseju o „Królu Learze”. — W świecie tragicznym tę sytuację przymusową narzucali kolejno bogowie, fatum, Bóg chrześcijański, Natura, historia wyposażona w rozum i konieczność... W świecie groteskowym przy pomocy żadnego absolutu nie można usprawiedliwić klęski, ani na żaden absolut przerzucić odpowiedzialności za przegraną. Absolut nie jest wyposażony w żadne racje ostateczne; jest tylko silniejszy. Absolut jest absurdalny... Ale ten absurdalny mechanizm nie jest już transcendentny do człowieka. Jest pułapką, którą człowiek sam na siebie zastawił i w którą wpadł... Wyszodyżony zostaje nie tylko kat, wyszydzonego zostaje również ofiara, która uwiaryła w sprawiedliwość kata, która z kata uczyniła absolut, która kata wymyśliła, ponieważ sama siebie uznała za ofiarę”.

Dramaturgia naszych czasów to dramaturgia groteski. Taki jest teatr Ionesco, Becket-

ta, Brechta, Dürrenmatta. Taki jest również teatr Mrożka. Jego bohaterowie, to blażeńskie ofiary blażeńskich katów zamknięte w obłąkańco wirującej jarmarcznej beczce śmiechu. Beczce zamkniętej, bez wyjścia.

Mrożek jest dziś jednym z najbardziej „wziętych” autorów u nas i za granicą. Mrożek jest popularny, ale trudny. Wbrew pozorom.

Dlatego za bardzo ambitną uważać należy próbę wystawienia jego „Piotra Oheya” w Teatrze Telewizji. Zadania tego podjął się i zresztą znakomicie się z niego wywiązał reżyser nie byle jaki, bo sam Erwin Axer. Poniedziałkowe widowisko nie uroniło nic z ironicznej filozofii autora „Karola”, z jego brutalnego demaskowania wszelkiej słabości ludzkiej, jego piekielnego dowcipu. Ani cienia taniej „zgrzywy”, ani cienia łatwizny, płytkości — tak przecież łatwych przy tego rodzaju przedmiocie. Przeciwnie. To był prawdziwy dramat głupców, a przez to i okrutny, i śmieszny do łez.

Osobne słowa uznania należą się aktorom. Najbardziej zdumiewał Tadeusz Fijewski w roli starego Myśliwego. To była wspaniała etiuda gry aktorskiej, to była postać żywcem wyjęta z Mrożka! Karolina Lubieńska jako Oheyowa z lekką przypominała Dulską, ale nie zapominała jednak ani przez chwilę, że gra Mrożka, nie Zapolską. Edward Dziewoński, który ma już niejako monopol na Mrożka („Podwieczorki przy mikrofonie”), jako Dyrektor Trupy Cyrkowej nie był ani gorszy, ani lepszy od swoich podwieczorkowych monologów. Co jednak zupełnie nie szkodziło przedstawieniu, gdyż Dziewoński jest rzeczywiście dobrym aktorem.



Eddie Fisher, znany amerykański aktor filmowy i telewizyjny (kontrakt z NBC), o którym pisaliśmy w poprzednim numerze, w okresie małżeńskiej sielanki z Elizabeth Taylor.

DLA ROZWOJU TELEWIZJI ŁÓDZKIEJ

Mnóstwo już napisano o Łódzkim Ośrodku Telewizyjnym. Dobrze, albo źle. Prawdzie albo fałszowi. Bez względu wszakże na to — jedno nie podlega dyskusji, że zawsze z życzliwością, w trosce o dobro rodzimego ośrodka. I cokolwiek by się jeszcze nie dorzuciło do tego tematu, pewny jest fakt, że Telewizja Łódzka zasługuje w niewspółmiernie większym stopniu na uznanie niż na krytykę, chociaż wiele uwag merytorycznych pod adresem jej programu pozwoli się wysunąć.

Ale — co ja będę państwu tłumaczył? — Wszyscy przecież dobrze jesteśmy poinformowani o aktualnej sytuacji LOT, która nie należy do wesolych ani łatwych; wiemy też chyba dobrze, że LOT swojego czasu był nowoczesnym ośrodkiem, lecz już nim przestał być. Pod względem wyposażenia technicznego przegoniły LOT inne ośrodki terenowe, a nawet i zwykłe stacje przekątnikowe. „Dwa razy nie wstępujesz do tej samej wody” — głosił sobie pewien starożytny mędrzec, a jako żywo: od momentu powstania LOT minęło przecież prawie siedem lat, lecz LOT pracuje wciąż na tych samych, nie poddanych nawet kapitalnemu remontowi, urządzeniach. A to, co było nowoczesne siedem lat temu, teraz może być anachronizmem. Szczególnie w dziedzinie techniki.

Na przykład: kamery. LOT posiada ich aż... trzy. Czyli — niezbędne minimum. A może i mniej niż minimum. Bo już stan rezerw wyraża się cyfrą zero. Spektakl teatralny potrzebuje pracy trzech kamer. Jeżeli któraś z nich nawali — a zapasowej nie ma — wtedy wychodzi tzw. „ładny gips”. Ubożuchny jest

nasz ośrodek telewizyjny, niestety.

Jednak możemy mieć niepełną nadzieję, że wszystko zmieni się na lepsze. Ponieważ nikomu jeszcze nie nie wyszło z samego tylko biadolenia i stękania, więc znaleźli się ludzie, którzy postanowili zorganizować pomoc dla Telewizji. I tak powstał Społeczny Fundusz Pomocy dla Telewizji (oficjalna nazwa jest tak piekielnie długa, że rezygnuję z jej podania). Wejwódtwo łódzkie, które na własnej skórze doświadczyło owa mityczną „nowoczesność” LOT (zasieg na dajnika łódzkiego — trzydzieści kilometrów), zamierza dołożyć swoją cegiełkę, a miasto Łódź też postara się nie pozostać w ogonie. Pomoc społeczna to w końcu żadna nowatorska forma, inne ośrodki terenowe bazują na niej od początków swego powstania.

Fundusz pomocy kończy właśnie swój wstępny okres prac organizacyjnych. Ponieważ kłopoty, związane ze zmianą kanału zostały pomyślnie zakończone, nie stoi na przeszkodzie, aby rozpocząć szeroką akcję. Rozumiemy ją w ten sposób, że nastąpi całkowita koordynacja działań Łodzi i województwa, jak również łódzkiego i wojewódzkiego oddziału SFOS. Czas nagli,

ośrodek łódzki coraz bardziej odczuwa brak elementów urządzeń, a wymagania wobec programu rosną. I słusznie, bo obowiązują tu — jak wszędzie — progresja. Zresztą, budowa centrum telewizyjnego należy do planów przeszłościowych i stąd terenowe ośrodki telewizyjne obarczane są zwickoznymi udziałami w programie ogólnopolskim. Tak niechcący, przypadkiem, zamiast centralizacji, mamy — decentralizację.

Łódź potrzebny jest wóz transmisyjny (to już paląca konieczność), i nowa stacja przekątnikowo — nadawcza. Projektowana ma mieć zasięg stu kilometrów i połączyć trasę: Warszawa — Łódź — Poznań — Berlin.

Taki wzmocniony sygnał zapewni dobry odbiór na terenie całego województwa (obejmuje również teren z innych województw, na przykład część poznańskiego), połączając w konsekwencji szybki wzrost abonentów. Rachunek ekonomiczny jest więc prosty: opłaca się inwestować, gdyż korzyści będą wielostronne.

Konto Funduszu jest otwarte. Pierwszej wpłaty dokonały Pabianickie Zakłady Przemysłu Bawełnianego. Na dalsze czeka Fundusz, LOT i telewizzowie.

KOWALSKI



Stali komentator telewizyjny zachodniemieckiego tygodnika „Der Spiegel”, podpisujący się „Telemann” stoczył przed paroma laty batalię o wkroczenie debiutnego zespołu na małe ekrany. Dzisiaj telewizzowie w NRF oglądają i słuchają najlepszych zespołów jazzowych goszczących w tym kraju, a także występujących w starych audycjach zespołów rodzimych, jak np. świetny big-band Kurta Edelhagena. W telewizji włoskiej ten rodzaj muzyki prezentowany jest przez dwie stałe audycje „Tempo di jazz” i „Jazz in Italia”. W Kanadzie jazz stanowi poważny procent wszystkich telewizyjnych programów muzycznych. Warto przypomnieć, że na tegorocznym festiwalu w Montreux wyróżnienie otrzymał właśnie jazzowy program telewizji kanadyjskiej. Można jeszcze dużo pisać o

zespole kolorowo-czarnych nie są zespołami jazzowymi. Z dobrych audycji jazzowych naszej telewizji, pamiętam tylko występ popularnego zespołu „New Orleans Stompers” (15 stycznia br. w programie „Rytm i piosenka” w reż. Jerzego Gruzdy), teleturniej jazzowej z Łodzi (25 lutego), krótki występ zespołu Andrzeja Kurylewicza (w lutym, albo w marcu) i na tym koniec. Prawda, że to niewiele? A przecież muzyka jazzowa w Polsce osiągnęła już wysoki poziom europejski. Olbrzymi sukces odniósł zespół „The Wreckers” Andrzeja

TADEUSZ WIACEK



JAZZ W TELEWIZJI

tego rodzaju audycjach w innych krajach, jak Francja, Anglia czy USA, ale nas przede wszystkim interesuje własne podwórko. Jazz już od dobrych kilku lat zdobył sobie prawo obywatelstwa w Polsce, jak i w Czechosłowacji, Rumunii oraz w Związku Radzieckim. Obecnie ten rodzaj muzyki ma już niewielu przeciwników, a do zwolenników zalicza się sam Witold Rowicki. Jazz wkroczył do filharmonii i Polskiego Radia. W tym ostatnim posiada już swoje dwie stałe pozycje „Encyklopedia jazzu” i „To jest jazz” (oprócz częstych występów polskich zespołów w audycjach poniedziałkowych i środowych). O popularności tej muzyki świadczą fakt, że płyty z nagraniami jazzowymi rozchodzą się najszybciej spośród wszystkich płyt Polskich Nagrań. Na ekranach kinowych pojawia się coraz więcej filmów z muzyką jazzową, jak np. „Niewinni czarodzieje”, „Zuzanna i chłopcy”, „Nóż w wodzie”. A jak wygląda jazz w telewizji? Niestety, nie najlepiej. Właściwie prezentuje się naszym telewizzom pseudo-jazz, a nie dobry jazz z prawdziwego zdarzenia. Mniej obecnym w tych sprawach czytelnikom pragnę wyjaśnić, że wszelkiego rodzaju

Trzaskowskiego na występach w USA (I Międzynarodowy Festiwal Jazzowy w Waszyngtonie, Festiwal Jazzowy w Newport). To samo można powiedzieć o występach zespołu „Flamingo” w Jugosławii, czy kwintetu Stanisława Kalwińskiego w NRD. Chciałbym przypomnieć, że podczas pobytu zespołu Andrzeja Kurylewicza w NRF, wiele stacji telewizyjnych „biło się” o występy tego kwartetu przed swoimi kamerami. W rezultacie Polacy mieli program telewizyjny w Saarbrücken, Essen, Offenbach i Frankfurt („Jazz für junge Leute”). Krytyka przyjęła te występy bardzo przychylnie, a wszystkie recenzje zachwalały się grą polskiego zespołu. Ale trudno być prorokiem we własnym kraju. Mamy kilka naprawdę dobrych zespołów jazzowych, możemy słuchać ich w radio, filharmonii, w kinie (!), ale nie w telewizji. Co jest przyczyną tego stanu rzeczy? Wydaje mi się, że tłumaczenie — jakoby muzykę w TV traktowano jak piątą koło u wozu — nie może być usprawiedliwieniem. Przecież znajduje się miejsce dla prezentowania piosenek (aż za dużo), często o zatrważająco niskim poziomie. Dla każdego melomana w Polsce jest rzeczą wiadomą,

że daleko jeszcze poziomowi naszej piosenki do poziomu naszego jazzu. Należy się jednak zgodzić z tym, że piosenka ma szerszy zasięg odbiorców niż trudny nieraz jazz. Ale czy z tego ma wynikać, że telewizja będzie pokazywała tylko to, czego żąda publiczność? — Na pewno nie. Przecież w swoim założeniu ma chyba kształtowanie gustów odbiorców. Dlatego czas chyba najwyższy ograniczyć występy piosenkarzy w rodzaju pana Czyżewskiego czy Wyróbka. Dziwna jest polityka TV w sprawie muzyki rozrywkowej i piosenki: oto przeprowadza się transmisje z nie najlepszego Festiwalu Piosenki w Sopocie, zapominając o odbywającym się corocznie „Jazz Jamboree” w Warszawie, gdzie występują najlepsze polskie zespoły oraz soliści z zagranicy. Nie pokazuje się również cieka-

wych i artystycznie wartościowych programów, w których zestawiona jest poezja współczesna z nowoczesnym jazzem. Brak jazzu w naszej telewizji nie można wytłumaczyć względami finansowymi, gdyż audycje piosenkiarskie na pewno nie są tańsze od występów zespołów jazzowych. Nie marzymy o częstych występach (we Włoszech dają go dzienne koncerty, dwa razy w tygodniu), lecz na jeden stały koncert jazzowy w miesiącu, chyba stać naszą telewizję. Na powstanie takiej audycji czeka ogromna rzesza jazzmanów w całym kraju. Dobrze byłoby, gdyby taki program był nadawany nie tylko z Warszawy, ale i z innych ośrodków, jak Poznań (Ptaszyn — Wróblewski, Milian), Kraków (Kurylewicz), Wrocław (FAR), Gdańsk („Flamingo”), a nawet Łódź („Tiger Rag”). Może właśnie z Łodzi wyjdzie inicjatywa w tym kierunku? Gra na pewno warta świeczki, a co ważniejsze: potrzebna, gdyż obecnie pojęcie „jazzu” niepokojąco się wulgaryzuje.

odgłosy

str.
11

ODGŁOSY

tygodnia

I COŻ TO ZA OPIEKA?

Na terenie Łodzi działa 10 domów dziecka, 2 pogotowia opiekuńcze i 2 zakłady dla dzieci i młodzieży moralnie zagrożonej. Już na oko widać, że nie jest to zbyt wiele. Rzecz wygląda jeszcze gorzej, kiedy się tym instytucjom przyjrzeć z bliska.

Łączna liczba miejsc — 887, ale tak naprawdę przebywa w tych domach 1.100 wychowanków, a więc tłok nie z tej ziemi, nieustanne interwencje władz sanitarnych, zwłaszcza, że połowa domów mieści się w budynkach starych i zrujnowanych, remont goni remont, a sytuacja i tak niewiele się poprawia.

Wychowankowie to tylko w minimalnym procencie dzieci sierocy, przede wszystkim dzieci rodziców, którym odebrano funkcje opiekuńcze. Czy żli rodzice pokrywają koszty wychowania? Nie pokrywają, tylko 3,5 proc. spośród nich płaci 420 zł. miesięcznie, 36 proc. płaci raczej już symbolicznie, bo 75 zł. na miesiąc, a reszta wcale nie płaci. Praktyka jest więc taka — nie chce ci się wychowywać — masz za to prezent od państwa, ono za ciebie i wychowa i zapłaci.

A teraz kilka słów o wychowawcach. To często bardzo dzielni ludzie, ale sytuacja i tak jest w tym zakresie kiepska. Nasze Studium Nauczycielskie nie otworzyło kierunku opieki nad dzieckiem, ponieważ nie było kandydatów. Ponad połowa wychowawców nie ma jeszcze nawet 9 lat praktyki. To wygląda dobrze, ale dobrze nie jest, ponieważ są to zbyt często ludzie, którzy nie otrzymali pracy w szkole. Natomiast wiek kadry kierowniczej, przynajmniej u 75 procent waha się w granicach 50 — 65 lat.

Słowem chwalić się zakładami opiekuńczymi nie możemy, możemy natomiast poprawić sytuację. Jest to nawet konieczne.

PATRZCIE, PATRZCIE MŁODZI...

Jaka jest przydatność zawodowa włókniarzy w starszym wieku? — na to pytanie starają się częściowo odpowiedzieć socjologowie (patrz — „Przegląd Socjologiczny” nr 3, 1962 r.). Wyniki badań budzą uznanie dla pracy starszych robotników. Chcemy to zasymulować, ponieważ wielu młodym osobom wydaje się, że nawoływanie do szacunku dla zawodowych wiekiem pracowników, opiera się wyłącznie na uznaniu dla ich lat, siwych włosów itp.

Według opinii majstrow z 6 zakładów bawełnianych Łodzi i Zgierza, wiek 40 lat stanowi górną granicę okresu maksymalnej sprawności zawodowej robotnic, przypadającego na lata 30—40. Prządki i tkaczki w wieku 40—49 lat wykazują jednak tylko nieco niższy poziom wydajności w porównaniu z ich koleżankami w wieku 30—39 lat. Natomiast robotnice w wieku 50—59 lat pracują mniej wydajnie od tych, które mają 20—49 lat, ale bardziej wydajnie od pracownic poniżej 25 lat. Ko biety do 25 lat reprezentują najniższy poziom wydajności pracy. Z badań wynika, że robotnicy po 50-tce w wielu wypadkach nie ustępują wydajnością, pracownikom w wieku 30—39 lat.

Przy jakości pracy — istnieje tendencja odwrotna. Można rzec — po 40-tce wzrasta jakość. Robotnice i robotnicy w tym wieku legitymują się lepszymi wskazaniami jakości niż młodszy — w latach 30—39.

Charakterystyczne, że star si (45 lat i więcej) opuszczają bez uzasadnionych przyczyn o wiele mniej godzin

pracy, niż młodszy od nich. Odnosząc się także znacznie nie lepszym dyscyplinowaniem w pracy i stanowią zespół bardziej ustabilizowany, niż robotnicy poniżej 45 lat. Liczby zwolnień z pracy na 1000 robotników wykazują duże różnice między tymi dwoma grupami wieku na korzyść „weteranów”. Socjologowie twierdzą, że rezultaty innych badań przydatności zawodowej starszych robotników, prowadzone w kraju i za granicą, pozwalają sądzić, że wyniki obserwacji poczynionych w łódzkim przemyśle bawełnianym, są przejawem bardziej ogólnej prawidłowości. A więc — patrzcie, patrzcie młodzi, nie tylko pracujący w „bawełnie”, jak pracują „weterani”.

POŻAR MILIONÓW

Warszawskie „Szpilek” z dnia 11 listopada br., piszą o skandalicznych warunkach magazynowania materiałów łatwopalnych w Łódzkich Zakładach Farmaceutycznych. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że nasz rodzimy przemysł farmaceutyczny robi duże „oszczędności”. W roku 1961 obniżono nakłady na BHP o jeden milion sto siedemdziesiąt jeden tysięcy złotych w porównaniu z rokiem 1960 a plan kapitalnych remontów obniżono o 37 proc.

„Operacja się udała — dodaje tygodnik — ale czy pacjent wytrzyma”? Nie wytrzymał. W dniu kiedy wspomniany numer „Szpilek” dostarczano do łódzkich kiosków Zakłady Farmaceutyczne przy ul. Drewnowskiej w Łodzi — płonęły.

Spalili się dokumenty... nie, nie chemikalia — ale miliony. Prawdopodobnie te, które zaszczędzono.

J. W.

CZEGO NIE MAMY?

Nie mamy przedsiębiorstwa taksówkowego w Łodzi, chociaż wszystkie wielkie miasta w kraju dawno się o takie przedsiębiorstwo postarały. 700 łódzkich taksówek — nie jest właściwie wykorzystanych, przystają gdzie chcą, a bywa i tak, że nie raczą jechać tam, gdzie my chcielibyśmy pojechać. Jeżeli chcemy, żeby można było korzystać z taksówek proporcjonalnie w ciągu całej doby i we wszystkich częściach miasta — takie przedsiębiorstwo powinno wreszcie powstać.

Nie mamy także stacji obsługi dla samochodów i motocykli. Na 30 tys. pojazdów — zaledwie trzy małe i ad hoc przerobione stacje. Znaczący to tyle co nie dla samej Łodzi, a przecież nie zapominajmy o województwie, które posiada dwa razy więcej pojazdów mechanicznych i ani jednej stacji z prawdziwego zdarzenia. W sumie tak zwaną opiekę techniczną posiada u nas co dwu dziesty pojazd mechaniczny. Ładna motoryzacja co?

Nie mamy w ogóle urządzeń sanitarnych, kanałów, a często nawet odpowiedniego asortymentu paliw w naszych stacjach benzynowych.

Słowem nie mamy głowy do tego, czym zdajemy się ogromnie pasjonować. Ponieważ odmotoryzowanie miasta nie jest możliwe, nikt nie zamieni samochodu, czy motocykla na konia (trudności paszowe) czas najwyższy pomyśleć o racjonalnie zorganizowanym zapleczu. Myślano właśnie na ostatnim Plenum KŁ PZPR, oby ze skutkiem.

ANEG— DOTY



do druku podał
St. Chmura

WŁADYSŁAW WALTER

był najpopularniejszym aktorem w Polsce.

Na początku kariery miał śpiewać w operetce w pierwszszym Wielkiejjocy. Wysępował w drugim akcie. Akt pierwszy się kończy, a Waltera nie ma. Za kulisami zamieszanie. Nagle zjawił się leżąc mocno zawiąany.

Znalazłszy się na scenie nie mógł w żaden sposób przypomnieć swej partii. Widząc wreszcie, że nie wybrnie, zdecydowanie krokiem wyszedł przed rampę i zaśpiewał:

Bóg się rodzi, moc truchleje!

* * *

Codziennie bywał w kawiarni „Cyganeria” w Łodzi. Pewien dziennikarz zapytał go w filu filmach występował.

— Z górą w czterdziestu. Na początku naszej kinematografii grałem w Węgrzyńskim w „Carskiej faworycie”. Ale opowiem panu zabawną historię, jaką miałem przy nagrywaniu filmu „Ułani, ulani”, w którym grałem wachmistrza. Niektóre fragmenty kręciliśmy w koszarach.

Siedzę w mundurze ułańskim i zajmuję z menażką, gdy nadechodzi podporucznik. Skłamał mnie porządnie.

— Czy nie wiecie, że należy zasłutować? Kpiny urządzacie z wyższych szarż? Jak nazwisko?

— Władysław Walter.

Wyższa szarża ze śmiechem podała mi rękę i rozstaliśmy się w zgodzie.

WŁODZIMIERZ
MALISZEWSKI

W 1908 r. sekretarz teatru łódzkiego wyjechał z całym zespołem do Lublina. „Wesele” Wyspiańskiego miało rozpocząć występ.

Po śniadaniu (taki był wó-

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów”



Foto: A. Kobylński.

JEST WYJŚCIE!

Pewna pani, przechodząc przypadkiem pasażem za Grand Hotelem, spostrzegła dwóch malców, moźnolnie wydubujących litery z eko-

kołu popiersia Tuwima. Chciała przeszkodzić „rzeźbiarzom”, ale w tym momencie zainteresował robotnik, reperujący dach sąsiedniego Młodzieżowego Domu Kultury: — Niech pani im nie robi krzywdy, to małe dzieci!

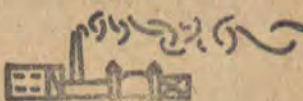
Malcy odskoczyli na bezpieczną odległość, zaś jeden wyciągnął legitymację szkolną i zaproponował pani, że skoro chce zapisać jego nazwisko, niech go złapie.

Pani po chwili namysłu poszła swoją drogą, malcy wrócili pod pomnik, zaś dekarz pozostał na posterunku obserwacyjnym w charakterze „czujki”.

Nie ma w tym zdarzeniu nic osobliwego poza tym, że streszcza ono pod pewnym względem całą sytuację w dziedzinie wychowania mło-

dzieży, aż do absolutnej bezsilności pedagogów włącznie.

Czy jest z tej sytuacji jakieś wyjście? Oczywiście, jest: usunąć z pomnika nakładane litery i zastąpić je malowanymi! Bardzo często przecież stesujemy tego rodzaju rozwiązania trudnych sytuacji...



ŁÓDŹ SIĘ STARZEJE

Przewiduje się, że do roku 1980 ludność Łodzi wzrośnie do 850 tysięcy mieszkańców, czyli o niecałe 20 procent w porównaniu ze stanem aktualnym.

Wszakże w tym samym czasie liczba ludzi w tzw. wieku poprodukcyjnym — 65 lat dla mężczyzn i 60 lat dla kobiet — wzrośnie niemal dwukrotnie. Obecnie jest ich 65 tysięcy, w tym 50 tysięcy kobiet, będzie zaś 110 tysięcy, w tym 76 tysięcy kobiet.

Wiążę się to z ogólną tendencją starzenia się społeczeństw, co w wieku wielkich osiągnięć medycyny nie jest rzeczą dziwną. Taka sytuacja powoduje konieczność stałego zwiększania nakładów finansowych na opiekę społeczną, m. in. Łódź musi do roku 1980 wybudować 19 zakładów dla starców, o łącznej liczbie 2340 miejsc.

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamawia reprintsów, nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z oznaczeniem na „Odgłosy” * Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 * Zam. 1292 XI 62. A-4